# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 8 sierpnia 1914. Nr. 32.


# Po zniesieniu kordonu.

(Treść na str. 2).



# Europa w ogniu.

# OD WYDAWNICTWA.

W wielkim momencie dziejowym, jaki obecnie przeżywamy, „Nowości Illustrowane“, pomimo niezmiernie trudnych warunków, w jakich znalazło się całe życie ekonomiczne kraju, a zwłaszcza prasa, wytrwają na posterunku, nie szczędząc pracy i wysiłków, aby sprostać swym obowiązkom tak trudnym w obecnych czasach.

W tym celu postanowiliśmy, niezależnie od zwykłych tygodniowych numerów, wydawać **codzienne dodatki,** aby możliwie najszybciej informować szeroki ogół o wypadkach na terenie wojny.

Nie wątpimy, że Czytelnicy nasi ocenią należycie te usiłowania, podjęte w warunkach niezmiernie ciężkich, i swem poparciem ułatwią nam odpowiedzialne i trudne zadanie, jakie ma spełnić obecnie nasze wydawnictwo, dając **illustrowany obraz tej wielkiej chwili dziejowej,** w obliczu której stoimy.

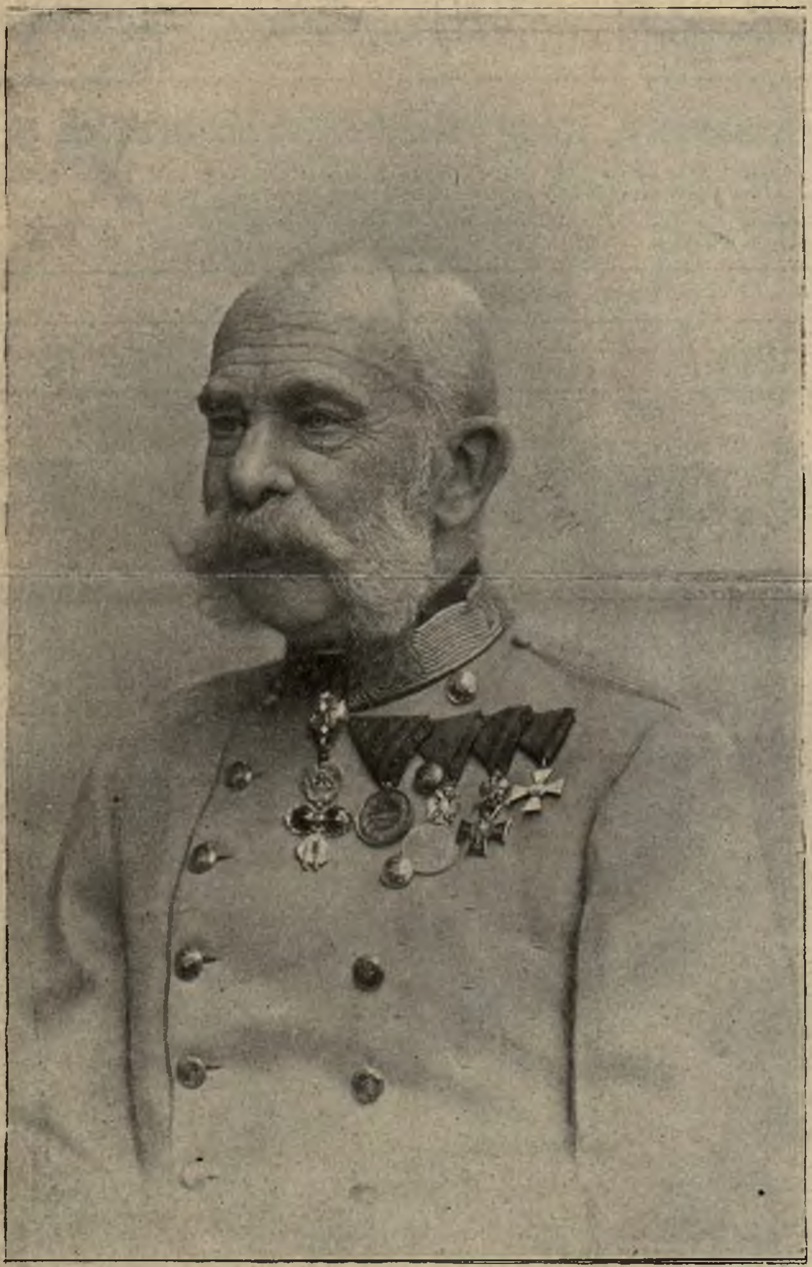
## Po zniesieniu kordonu.

(Do illustracyi tytułowej).

Następujące po sobie z zawrotną szybkością wypadki obecne przynoszą co chwila niespodzianki i wieści nadzwyczajne. W tych dniach zelektryzowała znów Kraków wiadomość o cofnięciu się wojsk i posterunków granicznych rosyjskich z pasa granicznego — daleko w głąb kraju. Wieści te przywieźli do nas wieśniacy z Królestwa, przybyli już bez paszportów. Szereg osób udało się na miejsce i stwierdziło ten stan nadzwyczajny zniesienia podziału ziemi Krakowskiej aż po Miechów i dalej. Późniejsze, już przez rządowe biuro podane wieści potwierdziły to, a następne doniosły nam o postępach wojsk niemieckich i zajęciu przez nie Kalisza, Częstochowy i Będzina. Niewiadomo co nam przyniesie najbliższa chwila, dotychczas jedno jest pewne, że Rosya cofa się na całej linii z Królestwa, zostawiając za sobą kraj otwarty. Dzieje się to podług z góry powziętych planów strategicznych, linia fortec rosyjskich zaczyna się dopiero na Modlinie pod Warszawą, a idzie dalej przez Grodno, Litwę i Białoruś.

Rzewnemi łzami radości powitała ludność pogranicza i piastowej stolicy zniesienie kordonu, a Krakowiak z Ojcowa z mieszczaninem krakowskim mogą obecnie podać sobie na swych ziemiach rękę. Upadły słupy ich dzielące, a wraz z niemi wszelkie granice. Niechby tak już pozostało, by wróciły się dawne czasy z przed wieku...

Nasza tytułowa illustracya przedstawia pierwszych wieśniaków z Ojcowa, którzy, przybywszy na granicę, nie zastali już tam władz rosyjskich.



Cesarz Franciszek Józef I.



**Europa w ogniu:** Sędziwy monarcha na rewii wojskowej.

## Europa w ogniu.

Z dniem pierwszym sierpnia r. b., która to data stanie się dniem epokowym, rozpoczął się niewątpliwie nowy okres dziejów Europy. O charakterze tego okresu teraz niewiele jeszcze powiedzieć można. Jedno jest pewnem, że początek tego okresu zaznaczył się położeniem kresu ciążeniu nad narodami Europy zmory caratu. A trzeba to stwierdzić, że pierwszym, który kolosowi północy powiedział: „dotąd, i ani kroku dalej!“ był sędziwy Monarcha Austryi, nestor władców europejskich, cesarz Franciszek Józef.

W dniu tym zabłysły nad Europą pierwsze łuny pożogi wojennej, która nie długo już może cały kontynent ogarnie.

Jest to wojna, jakiej rzeczywiście „jeszcze nie bywało“. Narazie trudno powiedzieć, ile milionów bagnetów, krwi chciwych, wyciągnie się ku piersiom przeciwników, ile tysięcy dział rykiem i piorunami strzałów napełni powietrze, ile wreszcie opancerzonych kolosów morskich ponure dzieło wojny roztoczy i nad morskich wód tonią. Ludy całe staną tu naprzeciwko siebie z bronią w ręku w obronie swych praw. Podług przybliżonych obliczeń 16 milionów żołnierzy może być zaangażowanych odrazu w tej grze. Wobec tego bledną wojny napoleońskie, które rozpoczęły przeszłe stulecie i okres dziejów, których obecnie widzieliśmy koniec. Epokę nową rozpoczyna Europa, a z krwawego tego porodu urodzić się powinien okres pokoju i wolności. Do tej przyszłości i my Polacy przywiązujemy swoje nadzieje. Gnębieni i uciskani wszędzie, pozbawieni możności używania swego języka i myślenia nawet po polsku, w jednej tylko Austryi mieliśmy wszelkie swobody i pewni jesteśmy, że wojna, którą ta właśnie Austrya prowadzi, jest także walką o lepszą przyszłość narodu polskiego. Dlatego w wojnie tej życzymy gorąco austryackiemu orężowi zwycięstwa.

Z troską podwójną śledzić będziemy bieg wypadków. Europa w ogniu wojny i świat cały widzi w niej tylko starcie się dwóch potęg i dwóch światów, my — także i odrodzenie się możliwe naszej egzystencyi jako narodu. Na cały świat rozlegną się odgłosy tej niesłychanej jeszcze w dziejach wojny, lecz echa najdonioślejsze jej łoskotów straszliwych rozlegać się będą w sercach naszych, dźwięcząc w takt ich bicia naprzemian obawą i nadzieją.

Dalszy rozwój szczegółowy obecnie rozpoczętych wypadków, usuwa się zupełnie z pod zwykłych prze-



**Europa w ogniu:** Piechota pruska w linii bojowej.

widywań ludzkich. Kto w nich bezpośredni weźmie udział, trudno powiedzieć teraz. Zarówno Nowy Swiat z tamtej strony Oceanu, jak budzący się do udziału w dziejach żółty Wschód z uwagą patrzy na ich przebieg, bowiem wygląd oblicza całego globu ziemskiego od nich może zależeć. Wszystkie państwa i ludy starego kontyngentu stoją już w pogotowiu wojennem. Zagadkową postawę zajmuje, lecz czuwa napewno z gotowym orężem „władczyni mórz“ Anglia. A następstwa tych wypadków obejmują już tak rozlegle horyzonty, że nie może być obecnie „proroka“, któryby ośmielił się je sprecyzować. W każdym razie i my i cała Europa stoimy w obliczu nowej, daj Bóg oby szczęśliwej epoki swego bytowania.

## Dwie ofiary Tatr.

Niebezpieczna turystyka na zdradliwe turnie tatrzańskie pociągnęła znów dwa młode życia ludzkie. Mianowicie w tych dniach gości Zakopanego zaalarmowała groźna wieść o nieszczęśliwym wypadku trojga turystów, pp.: prof. gimnazyum ze Lwowa dr. Bronisława Bandrowskiego, jego siostry Maryi i narzeczonej p. Anny Hackbejlówny, nauczycielki z Zakopanego. Prof. Bandrowski przybył do Zakopanego z wycieczki naukowej z Antwerpii i zaraz na drugi dzień zorganizował z wymienionymi paniami wycieczkę na Granaty obok Czarnego Stawu Gąsienicowego. Gdy wycieczka nie powróciła do do domu według zapowiedzi, zaniepokojona rodzina zwróciła się do Towarzystwa ratunkowego z prośbą o podjęcie poszukiwań. Kierownik ekspedyci p. Zaruski, idąc śladem nieszczęśliwej wycieczki, doszedł do Orlej Perci i w tem niebezpiecznem miejscu, gdzie niedawno zginął pewien student z Warszawy, rozpoczął poszukiwania. Przy badaniu skał lornetami,



**Europa w ogniu:** Cesarz niemiecki Wilhelm II.

spostrzeżono zwłoki kobiece na piargu pod skalną ścianą od górnego końca Czarnego Stawu. Góral przewodnik Stanisław Gąsienica Byrcyn gołem okiem spostrzegł niebawem ruch na skalnej ścianie. Przy pomocy lornet przekonano się, że w szczelinie średniego Granatu ktoś siedzi, zwieszony nogami nad przepaścią. Była to panna Marya Bandrowska, która cudem prawie ocalawszy od upadku w przepaść, zatrzymała się na wystającej skale i tak przesiedziała cztery dni. Mimo wyczerpania zupełnego była przytomna. Wydobyto ją ze szczeliny i przeniesiono do Kuźnic.

Według jej opowiadań padli oni ofiarą wiatru halnego, który zaskoczył ich na Granatach. Przyszły potem mgły, wśród których zgubili drogę. We czwartek spożyli prawie wszystkie zapasy; dokuczał im głód i zimno. W piątek szukali daremnie wyjścia. Przyszła trzecia straszna noc z soboty na niedzielę w mroźnem pustkowiu skalnem. Panna Hackbejlówna odłączyła się od niej z bratem w niedzielę rano, żeby stanąć na miejscu bardziej widocznem dla turystów, licznie tamtędy przechodzących i wołać o pomoc. Podobno wołania słyszano, ale brano je za zwykłe powitania turystów. Panna Hackbejlówna weszła na drogę bardzo dobrą, niestety wnet ją zgubiła i spadła ze ściany, liczącej kilkadziesiąt metrów, na piarg, mający również kilkadziesiąt metrów. Poniosła natychmiastową śmierć.

Smierć jej przyprawiła prof. Bandrowskiego o taki rozstrój nerwów, że na drugi dzień poszedł na to miejsce, skąd spadła i w oczach siostry rzucił się w przepaść, zabijając się od razu. Po ocaleniu żyjącej, pogotowie podjęło ciężką pracę wydobycia zwłok dwóch ofiar, które leżały niedaleko od siebie.





**Europa w ogniu:** Odjazd rezerwistów z Krakowa na pole walki.



**Europa w ogniu:** Kozacy dońscy.



**Europa w ogniu:** Kozacy orenburscy.



**Europa w ogniu:** Rosyjski min spraw zagr. Sazonow.





**Europa w ogniu:**

Sojusznicy z trójporozumienia, car rosyjski Mikołaj II i król angielski Jerzy V.

Sojusznicy z trójporozumienia, Mikołaj II i prez. republiki franc. p. Poincaré w Kronsztadzie.

Artur Gruszecki.

# Po ślubie.

10

— No i co? — spytał Winecki przez uprzejmość i ziewnął przeciągle.

— Ona ani słyszeć nie chciała. Dopiero ja do rodziców jej, którzy mają domek w Dobczycach, sam pojechałem, przedstawiłem stan interesów moich, zrzekłem się wyprawy, zapisałem majątek na przeżycie i skaptowałem ich dla siebie. Ona jeszcze się krzywiła, było trochę płaczu, ale gdy pokazałem jej meble po nieboszczce, dwie szafy z bielizną i sukniami, zmiękła i zgodziła się...

— No, a co było z tamtym?

— Jakim?

— A ten narzeczony jej, czy coś takiego, bo mówiłeś o nim.

— To był początkujący kupiec, miał kredyt, ale brakowało mu gotówki. Ożenił się z wdową po rzeźniku i powodzi mu się dobrze w Tarnowie... Natalcia jest teraz wdzięczna rodzicom, że ją nakłonili i mnie także, to też żyjemy ze sobą szczęśliwie i przykładnie.

Przyszli do miejsca rozstania się, Szabelski skręcił w swoją stronę, a uszedłszy kilka kroków, zawołał:

— Pamiętaj, Jasiu, o tej wsi!

— Wiem! Wiem!

— Jutro na piwie powiesz mi!

— Dobrze!... Dobranoc!

Nazajutrz przy zwykłym stole siedzieli wszyscy towarzysze codzienni z wyjątkiem Wineckiego, który wiedząc, że jest oczekiwany, rozmyślnie się opóźnił z przyjściem.

Humory panów z wyjątkiem prezesa Bluma były nieszczególne, dopiero ożywiła się rozmowa na wiadomość, że żona jednego z wyższych urzędników i dygnitarzy miasta porzuciła męża i uciekła z nauczycielem swych małych synków. Korzystając z tej sposobności, panowie zebrani na piwie wypowiedzieli wiele cennych i głębokich uwag na temat zepsucia obyczajów w sferach wyższych i bogatszych, w których kobiety nie mają innego zajęcia, jak bawić się i stroić, a Orszycki, który na seryo brał swój tytuł filozofa, powiedział sentencyonalnie:

— Praca jest najlepszym środkiem na zepsucie, takie jest moje przekonanie. Gdyby taką bogatą damę zaprządz do takiej pracy, jak nasze żony, co to i do kuchni, i do dzieci, i do uszycia sukni, i do gospodarstwa muszą zakasać rękawy, odechciałoby się im romansowania, strojów, zabaw i uciekania z kochankami. Takie jest moje zdanie.

— Pan radca ma zupełną racyę, — pospieszył Merczak z uznaniem, — czytałem gdzieś, że tak zwane wyższe towarzystwa kobiet psują dobre obyczaje! — a po dobrej chwili dodał zbolałym głosem: — Upada kultura i cywilizacya, upada kraj!

Jeszcze nie mieli czasu ci panowie zastanowić się nad przyczyną upadku kraju, gdy wszedł Winecki, a Szabelski nie bez pretensyi zawołał:

— Spóźniłeś się, Jasiu, i dlaczego?

— Miałem ważne powody, — odrzekł obojętnie, — a słyszeliście o najnowszym skandalu dzisiejszym?

— Czy o ucieczce z belfrem? — uśmiechnął się prezes Blum, — o tem już wiemy, a pan budowniczy słyszał o czem innem?

Winecki, który liczył na wrażenie niespodzianki, widząc zawód, uśmiechał się z przymusem i rzekł:

— Wiedziałem, że znacie ten skandal, bo całe miasto o nim gada, ale co na to panowie mówicie?

— Była już dyskusya, — odezwał się Merczak, — i ten skandaliczny wypadek rzuca złe światło na stan naszego miasta.

— O, przepraszam! — zawołał Orszycki, — miasto, to my, obywatele, przemysłowcy, rękodzielnicy, a co my mamy wspólnego z niestałymi mieszkańcami?

Panowie przy stole poruszyli się niespokojnie, każdy miał coś do powiedzenia w tej sprawie, gdy podszedł do nich dyrektor jednej instytucyi finansowej, okrągły, tłuściutki, z twarzą księżycową, łagodną, uśmiechniętą, i rzekł:

— Wiecie, panowie, ta ucieczka nadradczyni z nauczycielem, to bajka. W tej chwili widziano nadradcę z żoną na rynku. Ktoś zobaczył ją w powozie z nauczycielem za miastem i puścił plotkę.

To sprostowanie było pewnego rodzaju rozczarowaniem dla słuchaczy i Blum rzekł:

— Zawsze jednak musi być w tem coś. Ludzie napróżno nie gadają.

— Tak bywa, — potwierdził dyrektor, — ale w tym wypadku, nie! I ja od samego początku wątpiłem, ona ma z górą trzydzieści, a on może dwadzieścia.

— A, w takim razie, pan dyrektor ma słuszność, — rzekł Orszycki, — ja tak samo nie dowierzałem tej plotce.

Jakiś czas panowie oburzali się na plotkarstwo miejskie i wszyscy się zgodzili, że tę plagę zawdzięcza miasto tylko kobietom.

— Ręczę wam, — rzekł Blum poważnie, — że plotkę tę o nadradczyni, tak poważnej osobie, zrobiła jakaś zazdrosna kobieta, bo nas, mężczyzn, nie interesują takie rzeczy.

Ponieważ wszyscy podzielali zapatrywanie Bluma, rozmowa się przerwała. Korzystał z tego Szabelski i spytał:

— Cóż, Jasiu, dowiedziałeś się o tej wsi?

— Powiem, mamy czas, — drożył się Winecki.

— O jakiej to wsi mowa? — spytał Merczak.

— Wybieramy ustronne miejsce dla naszych żon, — objaśnił go Orszycki.

— O, to dla mnie ministeryalna kwestya, — uśmiechnął się Merczak, — jestem spragniony tej wieści.

— Wiesz, Jasiu, — zniżył cokolwiek głos Szabelski, — wczoraj Irenusia miała w mej nieobecności atak kaszlu... Dziś poszła z nią Natalcia do doktora, i ten nakazał wyjazd w góry. Zależy mi tedy na tej wsi.

Winecki skinął poważnie głową na znak, że rozumie przykre położenie przyjaciela, odchrząknął, napił się piwa i zaczął tajemniczo:

— Dowiedziałem się dziś, z ust poważnej osobistości, nazwisko zachowam dla siebie, że, jak mówi ta osoba, istnieje idealne letnisko w pewnej wsi. Trzy mile końmi od stacyi kolejowej, a jednokonna furka kosztuje sześć koron. Wokoło tej wsi drogi niemożliwe, same kamienie, dziury, błota, że nawet konie łamią nogi. I najbliższa miejscowość, do której zjeżdżają ludzie na lato, jest odległa o dwie mile i pół.

— Ależ to musi być okropna dziura, — krytykował Merczak, — tam mogą zabić, zamordować i pies się o tem nie dowie.

— Ja też nie zachęcam pana, — rzekł lekceważąco Winecki, — wyjedź pan z żoną do Krynicy, do Zakopanego, do Rabki i płać bajońskie sumy, bo masz z czego, ale my na każdy grosz ciężko pracujemy.

— Racya!... Racya! — skinęli inni głowami.

— A czyż ja nie pracuję w pocie czoła? — zawołał z żalem Merczak, — i dla mnie każdy grosz drogi.

— Więc słuchaj pan i nie przerywaj, — powiedział łaskawiej Winecki. — Do tej wsi, zjeżdżają tylko ludzie, którzy chcą wypocząć po całorocznej pracy i zyskać zapas zdrowia, jak mi mówiła ta osoba. Tam niema tańców, zabaw, muzyki i nie potrzeba żadnych strojów, literalnie żadnych.

— O! O! — zawołał z niedowierzaniem Orszycki, — przecież nago nie chodzą i zawsze ubrać się trzeba.

— Radco! — upomniał go Winecki, — jeśli mówię stroje, mam zawsze na myśli te różne fidrygałki i gałganki kobiet. Tam wystarczy byle jaka kiecka, a zamiast kapelusza chusteczka.

— Raj, nie wieś! — zachwycał się Szabelski, — bo już mi żona głowę kołowała o jakieś suknie dla siebie i dziecka; tam, panie tego, nic nie potrzeba, wystarczy domowa suknia, i dla Irenusi także nic. No, a jak tam z pocztą, bo pisać do nich trzeba.

— Poczta o milę, a urząd telegraficzny pewno na stacyi.

— Ja gotów jestem wysłać tam żonę, — powiedział niebardzo pewnym głosem Orszycki, — a jak nazywa się ta wieś?

— Zaraz powiem... zresztą nazwa sama to głupstwo. Idzie o to, jakie korzyści daje nam pobyt na tej wsi.

— Czy pan budowniczy myśli także wyjechać? — spytał lekko zdziwiony Orszycki.

— Ani mi się śni, idzie o nasze żony... Posłuchajcie dalej... Ponieważ dojazd jest trudny i kosztowny, nie potrzebują nasze żony obawiać się niepotrzebnych wizyt i niespodzianek. Prócz tego we wsi niema hotelu, niema restauracyi, niema pensyonatów, więc chociażby natrętnik jaki przyjechał, gdzie przenocuje? gdzie się pożywi?

— Zawsze na to znajdzie się rada, — przemówił prezes Blum, — jeśli będzie wiedział, że niema gdzie spać i jeść, weźmie zapasy, a prześpi się w stodole, jeśli go nigdzie nie zaproszą, — zaśmiał się.

Ostatnie słowa oburzyły skromność Orszyckiego i powiedział:

— Co pan prezes przez to rozumie? Kto ma tego pana zaprosić? Chciałbym dowiedzieć się, i ja, i ci panowie.

— Mój radco kochany, alboż we wsi niema księdza? dworu? szkoły? A łaskawy pan radca myślał o innej gościnie? Co? — zaśmiał się złośliwie.

— Wszystko to dobrze, — zaczął Szabelski, — ale co jeść będą? Samem powietrzem trudno żyć.

— Już mówiłem, — rzekł trochę podrażniony Winecki, — że tam zjeżdżają ludzie spokojni, jest mięso na miejscu, chleb, bułki, mleko, masło... czegóż chcieć więcej?

— No, tak, dla kobiet i dzieci to wystarcza, a nas i tak tam nie będzie, — rzekł Orszycki, — i jak nazywa się ta wieś?

— Grotów!

— Nie mów, Jasiu! — zawołał równocześnie Szabelski, ale było już zapóźno.

— Dlaczegóż nie miał powiedzieć? — spytał Orszycki.

Zapytany namyślał się przez chwilę, wreszcie odpowiedział:

— Moja żona, ze względu na wydatki i niewygody połączone z odwiedzinami, prosiła mnie, ażebym do chwili wyjazdu nie wymieniał miejscowości.

— Zgodne małżeństwo, — uśmiechnął się Blum złośliwie, — bo zdaje się, że i sam radca chce ukryć nazwisko wsi.

— No... tak... zapewne, — zmieszał się cokolwiek Szabelski, — ale przyznacie sami, że to nic przyjemnego mieć gości na karku, lepsza samotność.

— To rzecz jasna, — pospieszył z potwierdzeniem Orszycki.

— Jak słońce! — uśmiechnął się Merczak, — bo dopiero w samotności, jak mówią, myśliciele, uczy się człowiek cenić towarzystwo ludzi. Gdzieś czytałem, jak człowiek żyjąc ze zwierzętami, sam został zwierzęciem. To była bardzo ciekawa książka.

— A toś pan beknął, — śmiał się Blum, — czyż ich żony bez towarzystwa zostaną krowami? cielętami?

— Co pan czytał, — rzekł gniewnie Winecki, — nas nie obchodzi... Cóż, radco? wysyłasz tam żonę? — patrzał na Orszyckiego.

— A są tam góry? bo żona chce tylko gór.

— Są! Są! Grotów leży pod Zakopanem, ale droga do Zakopanego taka, że zanim się tam dostanie, można się rozchorować.

— Ja sądzę, — powiedział z namysłem Orszycki, — że moja żona się zgodzi, jeśli wasze pojadą.

— Moja pojedzie! — rzekł stanowczo Winecki, — bo ostatecznie mąż powinien rządzić, nie żona.

— Natalcia pewno pojedzie, — upewniał Szabelski.

— Ja wyszlę swoją, — rzekł Merczak, — w tym Grotowie będzie ona na łonie natury.

— Jeszcze jedno, — powiedział Szabelski z powagą, — gdzie nasze żony jadą, to nasza tajemnica.

— Ale żonie wolno mi powiedzieć? — spytał nieśmiało Orszycki.

— Wolno, ale musi zobowiązać się do zachowania tajemnicy, — objaśnił Szabelski.

Po załatwieuiu tej ważnej sprawy wszyscy odetchnęli i już swobodniej rozmawiano o ciężkich czasach, o podrożeniu robotnika, materyałów, żywności. Wtem Blum niespodziewanie kazał dać pięć bomb piwa, a gdy przyniesiono, podniósł swoją w górę i rzekł:

— Piję za zdrowie i na powodzenie waszych żon! Niech im czas na wsi upływa przyjemnie, niech się bawią wesoło i szczęśliwie bez was.

Trącił się bombą z innymi. Popili piwa, ale Orszycki, jak gdyby coś kwaśnego wypił, skrzywił się i rzekł zgryźliwie:

— Dlaczego prezes powiedział: bez nas?

— A czy wy tam będziecie? — śmiał się.

— To nie, ale... ale... — zmieszał się, — zawsze ta wesołość bez nas...

— Cóż radca chce? Prawdziwa wdowa, a i ta po kwartale szuka innego, a po roku jest ślub

a cóż dopiero słomiane wdowy? Te po tygodniu, a już patrzą za innym.

— O! nie moja Natalcia! — zaprzeczył żywo Szabelski, — ja wiem, że będzie tęskniła za mną, i ani jej w głowie zabawy bezemnie.

— I moja Stasia tak samo, — pospieszył Orszycki, — jeszcze wczoraj mówiła, jak jej żal zostawiać mnie samego.

— Ja tam nie wiem, — zaśmiał się Winecki, — czy moja żona będzie za mną tęskniła, ale że za wygodami, za spacerami, za lakotkami, to pewne.

— Mówicie panowie o swoich żonach, — rzekł Merczak poważnie, — pozwólcież i mnie. Moja żona godna i ja, to dwie dusze w dwóch... źle mówię... to jedna dusza w dwóch ciałach, i ona nie zna wesołości żadnej, tylko ze mną.

— No, no, wierzcie mi staremu, — śmiał się Blum, — że słomiane wdowy jeszcze prędzej znajdą amatorów, aniżeli panny i mężatki. Zobaczycie... tylko będzie zapóźno.

— A cóż prezes radzi? — spytał zaniepokojony Orszycki.

— Dojeżdżać... pilnować i nie pozwalać na żadne romansowanie, albo jak teraz głupio mówią: flirty, bo to zaczyna się od gadania, a kończy gdzieindziej, — śmiał się głośno i dwuznacznie.

— Trzeba coś obmyśleć, — powiedział z namysłem Orszycki.

— Tak!... tak! — zawtórował mu Szabelski, — a jak Jasiu myślisz? Ja mam, uważasz, tydzień wolny, a gdyby tak wpaść niespodziewanie do nich?

— Ja mogę tylko na niedzielę i święto, — powiedział Winecki, — i nie wiem, czy się podróż opłaci.

— Panowie! — zawołał uroczyście Merczak, — rozumiem wasze szlachetne troski o los najgodniejszych żon. Mogą zasłabnąć, uczuć pewne braki, potrzebę pomocy i rady... od czegóż ja tam będę!?

— Hm... pan!? — zmierzył go Szabelski oczyma, — nie wiem, czy one będą się liczyły z panem... ale zawsze może pan nam donieść listownie, co robią, jak się bawią.

— Spełnię sumiennie ten obowiązek, — rzekł z powagą, — rozumiem przecież, jaki honor mnie spotkał. Będę stróżem dobrego tonu, a na tem znam się już z mego zawodu.

V.

Zmrok już zapadał i czołgał się z zaułków miejskich na ciasne uliczki, na podwórza obmurowane, wspinał się na schody i zaglądał do mieszkań ludzkich.

O tej porze Romcia, oparta łokciami, patrzała na podwórze przez otwarte okno. Na małem, zabudowanem podwórku goniły się dzieci z hałasem: na gankach stały służące, rozmawiając głośno; lokatorki z przeciwległej oficyny wróciły ze spaceru i ubrawszy się w domowe spodnice, podlewały wazoniki, wołając służące na różne tony.

To życie kamieniczne wcale nie interesowało Romci, błądziła oczyma po ludziach, nie widząc ich, a odgłosy rozmowy i nawoływań odbijały się o jej uszy, nie budząc uwagi.

Rozmyślała o słowach męża, którego chrypliwy oddech przez sen dolatywał do niej z pokoju sypialnego.

W czasie obiadu, na który spóźnił się mąż z powodu śniadania w mieście, zapowiedział jej z tajemniczą miną:

— Dowiedziałem się o wybornem miejscu na pobyt w lecie. Lasy, góry, kąpiele i zupełna swoboda.

Na jej pytania, gdzie leży ta miejscowość i kiedy można będzie wyjechać, dawał wykrętne odpowiedzi, mimo że był cokolwiek trącony wypitym przy śniadaniu alkoholem.

Romcia, pragnąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o letnisku, sama przypiła do niego kieliszkiem wódki i w przyjemny sposób zachęcała go do wypicia piwa. Gdy upatrywała stosowną chwilę, powtórzyła pytanie i tak umiejętnie nalegała, że on wreszcie powiedział nazwisko miejscowości, wziąwszy od niej słowo, że nikomu nie powie do chwili wyjazdu.

Ta tajemniczość i wymaganie słowa bardzo ją zaniepokoiły i zrodziły złowieszcze przypuszczenia. Kto wie, czy on nie zamierza tam ją osiedlić, oddać pod straż, a może zamknie ją w odludnym domu? Możliwe jest, że dowiedział się od kogoś, może od Marcinowej, że Bachmacki bywa u niej w czasie jego nieobecności, i on, powodowany zazdrością, chce ją ukryć, a może zabić? Przerażona temi przypuszczeniami oświadczyła mu stanowczo, że sama nie pojedzie do Grotowa, na co on, wprawdzie już zmorzony sennością, odpowiedział, jak jej się zdawało, drwiąco:

— Nie bój się, będzie tam ktoś, kogo kochasz.

— Więc i ty jedziesz?! — zawołała.

— Ja, nie!... Ktoś, kogo bardziej kochasz.

I po tych słowach usnął.

Opadły ją niespokojne myśli, coraz gorsze przypuszczenia. Poczuwała się do winy względem męża jedynie z powodu Bachmackiego i zrobiła rachunek sumienia: Prawda, że ucałował ją kilka razy, ale zawsze wzbraniała mu i broniła się przed pocałunkami. A zresztą, czy pocałunek, i to wzięty przemocą, jest grzechem? Co do przemocy nasunęły się jej pewne wątpliwości, ale ostatecznie, dobrowolnie nie dała się całować, a więc musiała być przemoc.



Patrzała na podwórze przez otwarte okno.

Uściski były cokolwiek gorsze od pocałunków, wzbudziły w niej grzeszne myśli, ale czy można grzeszyć wobec męża myślą? Co innego grzeszyć przed Panem Bogiem, który zna najskrytsze myśli, a co innego przed mężem, który, jak słusznie mówi Bachmacki, nawet nie spytał się o jej duszę, a cóż dopiero o myśli.

No, zapewne, gdyby mąż znał jej myśli, zachcenia, fantazye, mógłby być zazdrosny i pragnąć zemsty, ale co on wie? Jedno tylko może wiedzieć, że on bywa.

A może odczytał jego listy? Przybladła ze strachu, były tam bowiem wzmianki o pocałunkach, o schadzkach i wyznania nie przeznaczone dla męża, to też postanowiła spalić wszystkie listy, o co ją prosił gorąco Bachmacki.

Szybko zdjęła z półki pudełko z kapeluszem, obejrzała się wokoło, i wydobyła z dna pudła pakiet listów związanych niebieską wstążeczką. Nie zaglądając do nich, zaniosła do kuchni i wrzuciła w ogień.

To spalenie listów uważała nietylko za ofiarę ze swej strony, ale niemal za bohaterskie poświęcenie się dla męża. Listy te bowiem były dla niej takie śliczne, takie czułe, że z rozkoszą odczytywała je w samotności, dumna i szczęśliwa, że jest tak wielbiona i kochana. Ta ofiara poniesiona dla męża uspokoiła ją o tyle, że uważała siebie bez winy i skazy, i już śmielej patrzyła na swój wyjazd do Grotowa.

Ostatecznie, gdyby jej zbyt długo nie było z powrotem, upomni się o nią matka; upomni się ciotka i wuj, który ma powagę, jako urzędnik przy kolei w Tarnowie. Zresztą jest Natalcia, a Bachmacki napewnoby ją wykradł z więzienia i uprowadził.

To byłoby nawet pięknie, poczuła gorące dreszcze, gdyby on ją uwolnił.

W ciemną, w bardzo ciemną noc, on zbliża się do jej więzienia... pies zaczyna ujadać, on zabija psa... budzi się stróż, ale Bachmacki nie zabija go, to przecież kryminał... rzuca się jednak na stróża, powala go na ziemię... Nie! Stróż narobiłby krzyku, już lepiej niech przekupi stróża, albo spoi wódką... Otwiera drzwi jej więzienia, pada przed nią na kolana, wyznaje miłość... wtem stróż się budzi... oni uciekają do lasu... Albo nie do lasu, tam może być mokro, błoto, zniszczy się suknia... już lepiej, ażeby powóz czekał. Siadają oboje, jadą na kolej, on kupuje bilety pierwszej klasy i w świat... do Wiednia!

Ach, co za rozkosz!... Dopiero mąż szuka, gniewa się, wścieka się, ale cóż to ją obchodzi?

Ach jakieby to było cudowne, to uprowadzenie jej z więzienia!... ale jaką miałaby suknię? Najstosowniejsza byłaby czarna, tylko ta jej wyprawna ma krój nie tak modny, właściwie powinna sobie sprawić czarną suknię, taką jak ma Natalcia.

Ciekawa rzecz, czy Natalcia pojedzie i gdzie? Wprawdzie Szabelski wie, że dla Irenusi potrzebny jest wyjazd, ale może się rozmyśleć. A może i Natalcia pojedzie do Grotowa? Trzeba spytać się o to męża.

A właśnie w tej chwili Winecki ziewnął głośno i przeciągle, a potem spytał:

— Która tam godzina?

— Już po siódmej, — podeszła do sypialni.

— Dlaczego mnie nie zbudziłaś?

— Nie żądałeś tego.

— Ale wiesz, że zawsze o tej porze jem kolacyę i idę na piwo, — ubierał się pospiesznie.

— Masz czas, dopiero dziesięć minut po siódmej.

— A, to co innego... Co masz na kolacyę?

— Jest trochę pieczeni z obiadu, chleb, masło, herbata...

— Daj herbaty z cytryną, mam niesmak w ustach, a sama zjedz pieczeń, jakoś nie mam apetytu.

Zasiadł do herbaty ubrany, gotowy do wyjścia, a ona spytała słodko:

— Proszę cię, Jasiu, a gdyby Natalcia spytała, dokąd jadę, czy mogę jej powiedzieć?

— Ty? Alboż ty wiesz, dokąd? — zdziwił się szczerze.

— Sam mi powiedziałeś, że do Grotowa.

— Ja powiedziałem? Kiedy?

— Dziś, przy obiedzie, i dałam ci słowo, że nikomu nie powiem.

— A, tak, tak... przypominam sobie. Pamiętaj, Romciu, że dałaś słowo.

— Wiem i dotrzymam, ale poco ta tajemnica?

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Mili goście u skautów.

W ubiegłym miesiącu odbywał się we Lwowie Zjazd hygienistów polskich, po którym goście rozjechali się w różne strony celem poznania osobliwości naszego kraju.

W program wycieczek wchodziło także zwiedzenie obozu skautów w Skolem.

Liczne grono uczestników zjazdu, między którymi zauważyć można było profesorów Maślaka, Głuzińskiego i Panka ze Lwowa, doktorów Pollaka, Kaczorowskiego, Gnatkowskiego, Jaworskiego, Baszkiewicza i wielu innych, wybrało się w przepiękną okolicę Karpat, by przyjrzeć się życiu obozowemu naszych młodocianych harcerzy.

Na dworcu w Skolem oczekiwał oddział skautów, którzy, po powitaniu gości, przy dźwięku melodyi narodowych przeprowadził ich do swego obozowiska. Choć pogoda nie bardzo dopisała, usposobienie wszystkich było jak najlepsze.

Poza miastem, na rozległej polanie, wśród lasów, w uroczej okolicy, przeciętej malowniczymi jarami, rozłożyły się kołem namioty, każdy na dziesięciu lub dwunastu skautów. Razem cały zastęp liczy dwustu, prócz tego zaś siedmdziesiąt skautek mieszka w gmachu Sokoła. Bawi tu także kilkudziesięciu Sokołów z różnych dzielnic Polski.



**Mili goście u skautów:** Obóz skautów w Skolem. (Fot. M. Münz, Lwów).



**Mili goście u skautów:** Budowa mostu. (Fot. M. Münz, Lwów)

W wielkim namiocie zasiedli goście do stołów. Obiad podają skauci i skautki, a choć eleuterya święci tryumfy, ożywienie panuje w całem towarzystwie. Toasty sypią się, jak z rogu obfitości, wesołość łączy się z poważnym nastrojem.

Po obiedzie zwiedzili goście namioty skautów, przypatrując się ich życiu obozowemu, poczem, podczas ćwiczeń, podziwiali sprawność ruchów i rozwój mięśni naszej młodzieży, która może powiedzieć, że tutaj dopiero oddycha całą piersią...

Po ćwiczeniach gimnastycznych nastąpiła walka na bagnety, gonitwy tyraljerskie, dawanie sygnałów, w innem miejscu popisywano się skakaniem, rzucaniem włóczni i dysku, w sąsiednim jarze w bardzo krótkim czasie zbudowano prowizoryczny mostek na rzeczce, skautki zaś ułożyły tamę z kamieni.

Zakończyły chóralne śpiewy. Gdy zabrzmiała „Przysięga skautów“, wzruszenie doszło punktu kulminacyjnego. Goście z poza kordonu twierdzą, że, gdyby nic więcej, tylko ten obóz zobaczyć, już byliby zadowoleni z podjęcia podróży do Galicyi.

O zmierzchu powrócono na stacyę, skąd goście udali się na nocleg do Stryja, uwożąc ze sobą jak najsympatyczniejsze wspomnienia.

## Pielgrzymka „północna“ na Jasną Górę.

Polacy zamieszkali w Rosyi urządzają co kilka lat pielgrzymki zbiorowe do Częstochowy, i w ten sposób nawiązują nić łączności z krajem zapomnianym lub zgoła nieznanym. Odwiedzają bowiem przy tej okazyi ogniska naszego życia narodowego, a kilka dni poświęcają na zwiedzenie Warszawy i jej pamiątek.

I w roku bieżącym przybyła ta pielgrzymka-wycieczka do Król. Pol.

Inicyatorzy obecnej pielgrzymki zebrali się na oznaczony termin w Petersburgu, dokąd przybyli: z Archangielska proboszcz tamtejszy, ks. Konstanty Songajłło, z kilku osobami z grona inteligencyi; z Petrozawodzka w gub. ołonieckiej ks. proboszcz Jan Grass z 10-ciu osobami (jechali statkiem specyalnym 3 dni po jeziorze Ładożskiem i przebyli straszną burzę letnią); z Dorpatu proboszcz ks. Józefat Żyskar z 20-wiernymi, z Rygi tyluż; z Carskiego Sioła i Peterhofu 34 osoby; ze Szliselburga 14.



**Pielgrzymka „północna“ na Jasną Górę:** Uczestnicy pielgrzymki pod murami klasztoru OO. K[illegible]nedułów na Bielanach warszawskich.





Skautki budują tamę z kamieni. **Mili goście u skautów:** (Fot. M. Münz, Lwów) Sztab na manewrach skautów w Skolem z dr. Wyżykowskim.

Z duchownych jest jeszcze ks. Jonin, proboszcz z Iwandy i alumn seminaryum z Petersburga, spora gromadka wiernych z Dynaburga, Lidy, wreszcie z różnych stron Mohylewszczyzny.

Wogóle przybyło pątników bez mała 400, a wśród nich przeważają kobiety. Jechano specyalnym pociągiem w 14-tu wagonach 4-ej klasy i jednym wagonem II klasy.

Po zwiedzeniu Wilna pątnicy udali się wprost do Częstochowy, gdzie zabawili dwa dni, a w powrotnej drodze zatrzymali się kilka dni w Warszawie.

Sympatycznych gości Warszawa podejmowała bardzo serdecznie, to też opuszczali oni stolicę Polski pełni podniosłych wrażeń.

## Złote gody w domu Radziwiłłów.

Dzień 19 lipca b. r. obchodzono w Ołyce na Wołyniu nadzwyczaj uroczyście.

Pan na Ołyce, książę Ferdynand Radziwiłł, prezes Koła polskiego w Berlinie, święcił w dniu tym złote gody z małżonką swą, Pelagią z książąt Sapiehów, ponadto równocześnie przypadła trzechsetna rocznica założenia ołyckiej ordynacyi.

Na piękną tę uroczystość zjechała najbliższa rodzina, znajomi i przyjaciele, przybył też ks. biskup Żarnowiecki oraz liczny zastęp duchowieństwa.

Przedpołudniem odbył się w miejscowej kolegiacie obrzęd złotych godów, po którym odprawiono uroczystą mszę św. O godzinie dwunastej przyjęli księstwo deputacye, między innemi: duchowieństwa i urzędników, administracyi dóbr ordynackich, która złożyła w darze piękne album, zawierające widoki gospodarki rolnej i leśnej, parafian ołyckich, mie-



**Złote gody w domu Radziwiłłów:** Jubilat, Ferdynand ks. Radziwiłł, prezes Koła polskiego w Berlinie, z małżonką, w gronie rodziny.

szczan, włościan i żydów. Bezpośrednio po tem rozpoczęło się śniadanie w dwu wspaniale odrestaurowanych salach zamku ołyckiego. Do stołów zasiadło kilkaset osób ze wszystkich sfer społecznych.

Popołudniu o godzinie piątej nastąpiło założenie i poświęcenie kamienia węgielnego pod parafialny Dom ludowy. Jest to dar jubileuszowy książąt Radziwiłłów dla parafii ołyckiej, liczącej obecnie przeszło sześć tysięcy katolików, przeważnie samych Polaków.



**Sezon w Krynicy:** Red. Krechowiecki, radca dworu Struszkiewicz i poseł German omawiają ostatnie wiadomości z polityki.



**Wojna:** Manifestacya patryotyczna przed ministeryum wojny w Wiedniu

Książę Ferdynand Radziwiłł, urodzony w r. 1834 w Berlinie, jako syn ks. Bogusława i hrabianki Clary Aldringen, od lat kilkudziesięciu bierze żywy udział w życiu politycznem, cieszy się też ogólną sympatyą, pełniąc gorliwie służbę publiczną dla dobra swego społeczeństwa. Od chwili, gdy polityka pruska przybrała wobec ludności polskiej szczególnie wrogą formę, ks. Ferdynand, pomimo pokrewieństwa z domem Hohenzollernów, usunął się od dworu, a wszystkie swe siły i zdolności oddał na usługi narodu. W r. 1874 wszedł jako poseł do parlamentu niemieckiego i na tej arenie żywą rozwinął działalność.

Nie było sprawy, obchodzącej społeczeństwo polskie w zaborze pruskim lub cały ogół polski, w którejby w ciągu trzydziestoletniego posłowania nie był zabierał głosu; należał zawsze do najpilniejszych pracowników na niewdzięcznej niwie parlamentarnej, a jakim mirem cieszył się w pruskiej Izbie panów i niemieckim parlamencie, poznać można z tego, iż zawsze powierzano mu wygłaszanie urzędowych deklaracyi Koła polskiego, protestujących przeciw coraz to nowym gwałtom.

Równolegle z pracą parlamentarną szła też i działalność księcia na wszelkich polach życia publicznego w kraju. I tu zapisał Jubilat swe nazwisko niezatartemi głoskami, nic też dziwnego, że na dzień uroczysty popłynęły serdeczne życzenia ze wszystkich dzielnic Polski, szczególniej zaś ze zaboru pruskiego.

## Z tamtego świata.

Przed czterema miesiącami na III moście w Warszawie wydarzyła się katastrofa samochodowa: automobil z artystami Teatru Nowoczesnego wpadł nocą na kupę kamieni i rozbił się doszczętnie. Wszystkich pasażerów odwieziono nieprzytomnych do szpitala z pękniętemi czaszkami (pp. Rinasówna, Zawisza), połamanemi kośćmi (pozostali). Dzięki troskliwej opiece lekarzy i zdrowym organizmom (na p. Zawiszę bandyci już dwukrotnie dokonywali zamachów, raniąc go ciężko), wszystkie ofiary katastrofy przyszły już o tyle do siebie, iż opuściły szpital i po-



**Z tamtego świata:** Uratowane ofiary katastrofy samochodowej (od strony lewej): Jan Zawisza, Helena Rinas-Liederówna, Władysław Walter (stoi), Jerzy Suranowski (siedzi) i Ludomir Rogowski.



**Dwie ofiary Tatr:** Ś. p. Anna Hackbeilówna z matką i bratem.



**Sezon w Krynicy:** Popularny liryk krakowski, Bieder, zachęcający nieodstępnego swego towarzysza „Nygiego“ do wypicia szklanki wody krynickiej.

zostają na rekonwalescencyi. Po katastrofie dawaliśmy ich podobizny przygodne, dziś zamieszczamy wesołą kompanię według specyalnego zdjęcia dla „Nowóści“.

## Sezon w Krynicy.

W „letnim salonie Polski“ — jak słusznie zowią Krynicę — rojno i gwarno. Sezon tegoroczny należy do najlepszych, pensyonaty i wille przepełnione. Bawi tu wiele osób z Królestwa i Galicyi, pośród tych wielu „kuracyuszów-jubilatów“, rok rocznie do Krynicy przyjeżdżających. Bo też Krynica ma urok, który działa nieprzeparcie na tych, co tu przybywają, a ze wszystkich zdrojów polskich jest urządzoną z największym komfortem. Prócz kuracyi daje ona też letnikom wiele rozrywek, pośród których naczelne miejsce zajmuje teatr, do którego od szeregu lat zjeżdża na lato dramat i komedya sceny lwowskiej. Pośród drużyny artystycznej teatru największem uznaniem i popularnością wśród publiczności cieszą się artyści: Feldman (najznakomitszy dziś na scenie polskiej interpretator postaci cesarza Napoleona), Chmieliński i Nowacki, których podobizny w szeregu migawkowych zdjęć z Krynicy przynosimy naszym Czytelnikom, obok podobizn stałych krynickich gości: radcy dworu Struszkiewicza z Wiednia, posła Germana, redaktora Krechowieckiego, poety Pietrzyckiego i sympatycznego obrońcy polskości Wita Stwosza, autora „Miljarderów“ Ludwika Stasiaka. W całem tego słowa znaczeniu popularnym jest również w tym sezonie na deptaku w Krynicy liryk krakowski, pan Bieder, ze swym nieodstępnym towarzyszem „Nygim“.



**Sezon w Krynicy:** Przed premierą „Miliarderów“ Stasiaka. Autor z artystą Chmielińskim.



**Sezon w Krynicy:** Znakomity artysta sceny lwowskiej, Feldman, jako „dobry ojciec“. W głębi kawiarni poeta Pietrzycki.

## Wyścigi krakowskich kolarzy.

Krakowski Klub cyklistów i motorzystów urządził w tych dniach wyścigi na szosie pod Krakowem do Mogiły o mistrzostwo swego Klubu. Z powodu gorąca, złej drogi i czasu wakacyjnego stanęło do startu niewielu uczestników. Właściwy bieg o mistrzostwo poprzedził bieg nowicyuszy na sześć kilometrów, który dał wyniki w czasie dość słabe. Stanęli: p. Zawiła, Dollo (pseudonim) i p. Gucwa. Pierwszy przybył do mety p. Zawiła w 14 m. 23 s., drugim był Dollo 14 m. 50 s. Mistrzostwo Klubu w drugim biegu zdobył p. Gnojek piękną, rekordową jazdą 30 km. w 56 m. 51 s. Drugi p. Engelman przebył tę samą drogę w 1 g. 10 s., następny przybył do mety p. Oberski w 1 g. 19 m., ostatni p. Schweichler w 1 g. 25 m. 15 s. P. Gnojek swą ostatnią jazdą postawił nowy rekord czasu na jazdę 30 km.



**Wyścigi krakowskich kolarzy:** Uczestnicy wyścigów z „mistrzem“ klubu p. Gnojkiem (X).

**WILLIAM THOMPSON.**

# FATALNA BLIZNA.

## Z TAJEMNIC NOWEGO-JORKU.

(Z angielskiego).

2

— Rozporządzać będzie nim mogła dopiero w przyszłym miesiącu, kiedy skończy 21 lat. Ale co dziwniejsze, droga moja, to fakt, że listy rzekomo pochodzące od Allice nie były pisane jej ręką, ale na maszynie.

— Hm... hm... Tak, to rzeczywiście bardzo ciekawe...

— Ale co mnie najwięcej zastanawia, to Wiliam Larkins. Czy nie uderzyło cię coś szczególnego w jego zachowaniu, kiedy siedział tutaj z Allice przy śniadaniu?

— Wydawał się mocno zajęty swoją towarzyszką.

— Tak... Ja siedziałam nawprost nich, więc mogłam swobodnie obserwować. Nie zauważyłaś nic w chwili, gdy zdjął jej rękawiczki?

— Nic.

— Słaba z ciebie obserwatorka! W chwili kiedy rękawiczka zsunęła się z ramienia Allice, w twarzy Williama odbiło się przerażenie. Usiłował je zamaskować swobodną rozmową, ale nie zupełnie mu się to udało.

— Cóżby to być mogło?

— Powtarzam, nie wiem, ale już wczoraj zwróciło moją uwagę dziwne zachowanie się młodego Larkinsa. Siedział z Allice w loży, bawił ją wesołą rozmową, ale gdy tylko ona na chwilę odwróciła głowę, na twarzy jego odbijało się jakieś zakłopotanie i dziwne zmieszanie. Robił wrażenie, jakby walczył nadaremnie z jakąś niemiłą myślą, upornie wracającą.

— Jednakowoż w najbliższych dniach mają być ogłoszone publiczne zaręczyny Allice z Williamem.

— Otóż to właśnie! Edyto, założę się z tobą o tuzin rękawiczek z duńskiej skórki, że oznajmienie o zaręczynach nie ukaże się, dopóki...

— Dopóki?

— Dopóki nie wyjaśni się to tajemnicze coś, które powoduje, że William Larkins siedzi jak na szpilkach przy swojej pięknej narzeczonej.

— Zatem pamiętaj; że noszę rękawiczki numer 6 a ulubionym kolorem moim jest kolor liliowy... Ale rzeczywiście ta biedna Allice zmizerniała nadzwyczajnie. Jakaż ona blada, z twarzy jej znikły zupełnie dawne świeże rumieńce.

— Tak, a przytem podobno pamięć jej mocno ucierpiała. Podobno spojrzała przerażonemi oczyma na Harry'ego Bigsona, kiedy złożył jej wizytę i nie poznała go wcale.

— Wszystko daje dużo do myślenia, to prawda, ale tymczasem to my gadu, gadu, zagadałyśmy się, a to już późno. Ty miałaś przecież załatwiać sprawunki.

— Ach! co tam sprawunki — rzekła niedbale pani Larinson-Peach, ale zaczęła jednakowo szybko zbierać swoje drobiazgi: torebkę, woalkę, rękawiczki...

* * *

W godzinę później, automobil wiozący obie przyjaciółki, zatrzymał się przed olbrzymim „drapaczem nieba".

— Boże wielki! Znowu jeden taki olbrzym! Po co to ludzie budują takie domiska, które zasłaniają niebo przed oczyma biednych mieszkańców miast.

— Ależ to bardzo wygodne. W tym naprzykład domu mieszczą się najrozmaitsze biura, kancelarye adwokackie, sklepy, magazyny mód. Tutaj też znajduje się najszykowniejszy „Instytut piękności".

— Czy tam się udajesz?

— Tak jest, muszę sobie wypolerować paznokcie i utlenić włosy. Przytem drażni mnie ta maleńka brodawka na lewym policzku; muszę ją bezwarunkowo usunąć. O! ależ patrz! patrz!

— Co takiego?

— William Larkins wchodzi do bramy, a Price idzie naprzeciw niego! On ma także tu swoją kancelaryę.

— Cóż w tem nadzwyczajnego?

— Ach! ty głuptasie! Patrz, Will mówi do niego, Price potrząsa wahająco głową i spogląda na zegarek.

— Ależ, Nelly, daj spokój! Zauważą, że ich tak obserwujesz!

— Przecież patrzeć każdemu wolno! Spojrz, na twarzy Price'a maluje się jakieś przerażenie! Wraca, Idą z powrotem! Will powiedział, że ma ważny interes, a Price jest jego najserdeczniejszym przyjacielem. Założę się, że tu chodzi o Allice Sheffield.

— Hm! — mruknęła Edyta — Price jest adwokatem i to bardzo sprytnym w niektórych sprawach!

— Co przez to rozumiesz?

— To, co powiedziałam. Ale, droga Nelly, nie zapominaj o twoich sprawunkach i „instytucie piękności".

### ROZDZIAŁ IV.

### Fatalna blizna.

Robert Price poprosił grzecznie swego gościa, aby usiadł pierwszy, poczem wszedł sam, zamknął drzwi i spuścił żaluzyę. Podał Wilhelmowi fotel i rzekł:

— Siadaj, chłopie, i mów, co masz na sercu. Co ci się stało od wczoraj? Byłeś tak wesoły i swobodny,

— Tak, ale właśnie wczoraj moje niejasne przeczucie, nieśmiałe przypuszczenie przybrało konkretne kształty. Robercie, ty jesteś jedynym człowiekiem w Nowym Jorku, który po wysłuchaniu tego, co powiem, nie nazwie mnie waryatem!

Poważna twarz Roberta przybrała wyraz troski i zakłopotania.

— Nie bój się, Will. Mów śmiało. Cokolwiekbyś powiedział, nie nazwę cię waryatem. Wiem, że jesteś przy zdrowych zmysłach.

— Tak, jestem przy zdrowych zmysłach, ale wierzaj mi, wolałbym nie być!

— Willu, to coś bardzo ważnego. Mów więc, słucham. Zrobię dla ciebie, co tylko będzie w mej mocy.

— Robercie, ty wiesz, jak kochałem Allice Sheffield i czem ona była dla mnie?

— Naturalnie.

— Wiesz także, jaka rozpacz mnie ogarnęła na wieść o uprowadzeniu?

— Wiem.

— A jakże czułem się szczęśliwy, kiedy ją odzyskałem! I o tem wiesz, prawda?

— Tak!

— Robercie, posłuchaj! Pamiętaj, że ja nie jestem waryatem! ja nie mam mojej Allice, ona nie powróciła.

— Tłomacz się jaśniej — rzekł Price.

— Nie umiem ci nic wytłomaczyć. Ale to, co mówię, jest prawdą! Ta dziewczyna, która przebywa w domu Johna Sheffielda, ta dziewczyna, która ma twarz, oczy, włosy, figurę, ruchy, głos Allice, nie jest moją Allice. To nie ona, pomimo, że przybrała to samo imię. Mojego serca oszukać nie może nawet to niezwykłe podobieństwo!

— Dalej, dalej, cóż dalej? — nalegał Price.

— Pozwól mi zebrać myśli. Sam nie wiem, jak ci to mam wszystko wyrazić. Byłem u nich w domu, kiedy przybyła. Stary Sheffield mnie wezwał. Nie wiedzieliśmy dokładnie, kiedy powróci. List zapowiadał, że oczekiwać jej należy mniej więcej w godzinach od zachodu słońca aż do świtu. Służbie kazał Sheffield iść spać... Już dobrze po północy odezwał się dzwonek. Ojciec nie mógł postąpić kroku naprzód ze wzruszenia... Ten stary, surowy, twardy jak żelazo człowiek drżał i słaniał się. Ja poszedłem otworzyć drzwi. Była silnie zawoalowana. Pochwyciłem jej ręce, wołając po imieniu. Poczułem, że drżała na całem ciele... Pochwyciłem ją w objęcia, szalony z radości, ale wyrwała się gwałtownie. „Willu — zawołała — jestem strasznie zdenerwowana. To wszystko było tak okropne. Czuję zawrót głowy". Z ojcem przywitała się równie chłodno, ale to mnie nie zdziwiło. Allice mało przebywała z ojcem i nie odznaczał się on nigdy zbyt wielką tkliwością. To twardy człowiek.

— Tak, przynajmniej pozornie!

— Wkrótce przyszła ciotka i zabrała ją do jej pokoju. Wyszedłem z domu Sheffieldów i pieszo poszedłem do klubu, bo noc była prześliczna. Powinienem był się czuć szczęśliwy i uradowany, a rzecz dziwna; nie mogłem. Ciężko mi było na sercu. Zaczynałem się obawiać, czy przeżyte wrażenia nie złamały wesołej, żywej natury Allice.

— No, żeby złamać Allice, na toby trzeba bardzo wiele. Jej energia nie łatwo przedczem ustępuje.

— Właśnie!... Na drugi dzień złożyłem znowu wizytę, ale nie miałem sposobności mówić z nią sam na sam. Ciotka Betsy dotrzymywała nam przez cały czas towarzystwa. Allice była blada, cicha, milcząca, bardzo zdenerwowana.

— To rzeczywiście niepodobne do dawnej Allice. Trudno przypuścić taką nagłą zmianę temparamentu.

— Naturalnie. Później zachorowała i naturalnie o niczem z nią mówić nie było można. Dopiero, kiedy stan jej zdrowia poprawił się znacznie, zapytałem ją po porozumieniu się z ojcem, czy zgadza się na ogłoszenie naszych zaręczyn. Pytanie moje zaskoczyło ją widocznie, starała się dać mi wymijającą odpowiedź, zbyć mnie żartami, wreszcie poprosiła o zwłokę. Tłomaczyła się, że jest zbyt zdenerwowana, aby módz przyjmować wizyty i gratulacye... Musi naprzód przyjść do sił, a do tego potrzebuje spokoju.

— Zupełnie słusznie.

— I ja to przyznałem. Odwiedzałem jednak codzień Allice i jakieś niejasne podejrzenia zaczęły się coraz bardziej wkradać w moją duszę. Ja przecież Allice, moją Allice, tak dobrze znałem: jej ruchy, przyzwyczajenia, sposób mówienia i t. d., a u tej mniemanej Allice tego nie odnajduję. Przedewszystkiem zaś dręczyło mnie jakieś przeczucie, dziwnie trwożne przeczucie... Moją rolę narzeczonego grałem albo przynajmniej starałem się grać jak najlepiej, tak jak gdyby ona, ten sobowtór, dawniej była rzeczywiście tą dziewczyną, którą ja znam tak dobrze i kocham tak bardzo. Ale ja czułem, że to nie moja Allice — to jakaś obca dziewczyna, to jakaś rusałka, która przybrała twarz Allice, ale nie posiadła jej duszy. Allice była żywa, wesoła, energiczna, otwarta, impulsywna. Ta dziewczyna jest inną i tylko stara się być taką samą.

— Czy to wszystko, Will?

— Nie! ja od dwóch godzin mam pewność, zdobyłem dowód, że...

— Dowód? Jaki? Pomyśl, co ty mówisz!

— Dosyć, myślałem, teraz jestem już pewny! Nie wiem, gdzie teraz znajduje się Allice Sheffield, nie wiem czy żyje jeszcze i czy jest zdrową. Mogę tylko Boga prosić gorąco, aby ją ocalił i zachował zdrową... Mam dowód, że dziewczyna, która gra jej rolę, nie jest nią. To nie jest Allice.

— Czy masz jaki na prawdę przekonywujący dowód?

— Tak jest! Posłuchaj i osądź!

Will zamilkł na chwilę i zdawał się zbierać myśli, poczem rzekł:

— Robercie, czyś zauważył kiedy bliznę na ręku Allice? Jest to malutka okrągła blizna na zgięciu łokcia. Można ją widzieć tylko wtedy, kiedy ręka jest wyprężona.

Price skinął głową.

— Tak, zauważyłem tę bliznę.

— I Allice musi ją dotychczas mieć na ręku, żywa, czy umarła, ale... ale ta nie ma blizny. Jej ręka jest gładką jak marmur, bez żadnej skazy. Kiedy to zobaczyłem, przestałem wątpić!... Na miłość Boską, Robercie, co to jest?!

W pokoju zapanowała cisza, która trwała tak długo, że Larkins zerwał się z fotelu i zaczął przemierzać kancelaryę nerwowymi krokami.

Nareszcie Robert zabrał głos:

— Willu, w Nowym Jorku nie ma drugiego człowieka, któryby cię tak jak ja znał i rozumiał. Muszę ci jednak przyznać, żeś mi dał wcale nie byle jakie zadanie do rozwiązania.

— Więc?

— Wierzę, mój drogi chłopcze, że to wszystko jest prawdą. Ja sam zresztą nietylko nieraz widziałem tę bliznę na ręku Allice, ale słyszałem o pochodzeniu tej blizny. Pani Larinson-Peach, która zawsze wszystko wiedzieć musi, opowiadała mi o niej. Usiądź więc znowu z łaski swojej Willu i pogadajmy swobodnie. Widzisz, jeżeli ty nawet nie mylisz się, jeżeli to nie jest Allice, to co robić w takim wypadku?

— Boże Wielki! przecież ja do ciebie po radę przyszedłem!

— To też będę się starał udzielić ci jej, jak tylko ta cała sprawa stanie przedemną w trochę jaśniejszym świetle.

— Ach! gdybyś ty mi mógł poradzić co robić, co robić? Wszystko jest lepsze, niż taka przeklęta bezczynność.

— Jeżeli Allice Sheffield jest gdziekolwiek więziona, to roboty nam nie zabraknie. Będziemy mieli wiele do czynienia. Ale naprzód, Willy, ty się nie rozgniewasz, nie zrozumiesz mnie źle, jeżeli zadam ci kilka nieodzownych pytań.

— Ależ pytaj — proszę cię!

— A więc... Czyś ty miał zupełne zaufanie do Allice i czy podczas jej nieobecności nie zwątpiłeś o niej?

— Ani na chwilę!

— Czy nie było między wami jakich sprzeczek i nieporozumień?

— Żadnych!

— Czy przed poznaniem się z tobą nie była kiedy zaręczona lub zakochana? Czy nie miała jakiejś pensyonarskiej miłości?

— Opowiadała mi nieraz, że w szkole nie miała

czasu myśleć o flirtach i miłostkach, bo uczyła się bardzo pilnie. Potem podróżowała bardzo wiele ze swoją matką, a po śmierci matki, kiedy przybyła do domu ojca, poznała mnie i pokochała. Nie, nie! to przypuszczenie możemy zupełnie usunąć!

— Dobrze! Czy ona ma jakiego wroga?

— Nie mogę sobie tego wyobrazić.

— I ja także nie.

— A jakież były stosunki domowe?

— Starego Sheffielda znasz przeciesz. Jest to człowiek surowy, nawet szorstki, przynajmniej po wierzchownie, trochę odludek. Z piękności i rozumu swej córki był dumny, dogadzał jej i rozpieszczał ją nawet.

— A ciotka?

— Ciotka — to stara panna, która jak sama opowiada nigdy w życiu nie miała narzeczonego. Ma ona jakieś arystokratyczne przesądy, wierzy w istnienie amerykańskiej arystokracyi, ale pozatem jest to osoba rozumna i kochająca szczerze swoją siostrzenicę. Allice miała zupełną swobodę i robiła, co jej się żywnie podobało.

— Hm! więc ty sądzisz, że ojciec i ciotka, osoby tak blizkie Allice, mogły się zwieść podobieństwem choćby najbardziej łudzącem?

— Ależ tak się stało! Oni padli ofiarą oszustwa! To zresztą nic dziwnego! To wyjątkowe rzeczywiście podobieństwo musiało wprowadzić ich w błąd. Oni oboje mało znają Allice, nie mieli sposobności zaobserwowania rozmaitych drobnych jej przyzwyczajeń, ruchów, wyrażeń, upodobań. Wiesz przecież, że pożycie mis Sheffield z mężem nie należało do najszczęśliwszych, to też żona najczęściej bawiła w Europie u swoich krewnych, a córkę miała zawsze przy sobie. Jeszcze kilka miesięcy po śmierci matki spędzała Allice u jakiejś ciotki we Francyi. Ojciec zatem za życia żony rzadko widywał córkę, a i teraz zajmował się nią niewiele, pochłonięty interesami. Ciotka Betsy poznała Allice dopiero przed czterema laty, kiedy to dziewczę powróciło z Francyi. Wspomniałem ci też o tem, że ciotka nie narzucała się siostrzenicy zbytnio ze swoją opieką i towarzystwem. Allice cieszyła się najzupełniejszą swobodą. Ciotka Betsy niechętnie nawet wychodzi ze swego pokoju, gdzie przepędza czas na modlitwie, czytaniu i t. p.

Price zamyślił się.

— Will, jak sądzisz — zapytał — czy ta młoda dziewczyna, jeżeli rzeczywiście nie jest Allice Sheffield, długo utrzyma się w swej roli?

— A dlaczegóżby nie? Najtrudniejszem było przełamanie pierwszych lodów, a to już się stało. Teraz zagnieździła się już w domu Johna Sheffielda i doskonale gra komedyę, tak jest komedyę. Ja to widzę, ja czuję!

Robert spojrzał znacząco na przyjaciela.

— O cóż tej młodej dziewczynie chodzić może? Czyżby...

— Nie, nie, Robercie! — zawołał Will — wiem o czem myślisz! Ale co najdziwniejsze, to właśnie ten fakt, że jest inacej. Kimkolwiek jest ta dziewczyna, z wszelką pewnością jest niezwykłą awanturnicą, ktora dla szantażu wykorzystuje przypadkowe podobieństwo. Kiedy po jej powrocie zacząłem najczulszemi słowy do niej przemawiać, wspominając o naszych blizkich zaręczynach, wtedy prosiła mnie, abym jeszcze trochę je odłożył. Mówiła, że czuje się zbyt zdenerwowana, aby się narażać na jakiekolwiek silniejsze wzruszenie. psychiczne.

— No! w tem nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nawet prawdziwa Allice tak powiedziała.

— Zaczekaj! Dzisiaj, kiedy moje podejrzenia ugruntowały i stały się prawie pewnikiem, chciałem ją poddać próbie.

I cóż powiesz? znowu prosiła mnie o zwłokę łagodnie, lecz stanowczo. Powiedziała mi: „nie mogę zostać twoją żoną, dopóki się to wszystko nie wyjaśni".

— Hm! — Robert zaczął bębnić palcami po stole. Po chwili zapytał:

— Kto jest domowym lekarzem Sheffieldów?

— Dr. Gray.

— Czy to człowiek zaufany?

— Najzupełniej, to prawdziwy przyjaciel domu.

— Czy on leczył Allice w jej chorobie po powrocie do domu?

— Nie! nie życzyła sobie tego!

— Co? — Price zerwał się jak oparzony z fotelu. — Nie chciała pozwolić, aby ją leczył zaufany lekarz domowy! Czemże motywowała ten dziwny kaprys?

— Znowu swojem nadzwyczajnem zdenerwowaniem. Tłumaczyła się, że wprawdzie bardzo lubi starego doktora, ale przy obecnym stanie jej nerwów jego dowcipy i przesadna troskliwość mogłyby ją tylko więcej rozdrażnić. Sam osobiście telefonowałem do Graya w tej sprawie, prosząc aby przysłał jakiegoś innego lekarza, zupełnie obcego. Rzeczywiście Gray przysłał specyalistę chorób nerwowych dra Brosmana.

— I Gray ani razu nie widział Allice po powrocie?

— Owszem, wczoraj w loży, ale rozmawiał z nią bardzo krótko.

Robert spojrzał uważnie Willowi w oczy i zapytał, cedząc powoli wyrazy:



Brigger nie robił wcale wrażenia dedektywa.

— Will, czyś ty powziął już jakieś postanowienie? Czy jasno zdajesz sobie sprawę z tego, co chcesz czynić?

— Będę szukał Allice i muszę ją odnaleźć. Odnajdę, jeżeli tylko żyje jeszcze!

— Więc obawiasz się, że...

— Przez ostatnich kilka dni, dzień i noc myślałem o tem! Mam jednakowoż nadzieję, że Allice żyje. Ona tym łotrom, którzy ją porwali, musi być potrzebna. Tutaj chodzi o coś więcej, a nie tylko o te 50.000 dolarów. Ten piekielny plan był nadto kunsztownie wypracowany. Oni oddawna musieli się przygotowywać do tego niezwykłego oszustwa! Przecież takiego sobowtora z rękawa na poczekaniu nie wytrząsnęli. Powiem ci, co ja przypuszczam... To jest na wielką skalę zakrojony szantaż. Allice posiada olbrzymi majątek osobisty.

— Ależ, na Boga! — Robert z całej siły grzmotnął pięścią w machoniowe biurko — to przecież sprawa jasna jak słońce! Allice w przyszłym miesiącu dochodzi do pełnoletności, będzie więc mogła dowolnie rozporządzać swoim majątkiem! No! teraz możemy być pewni, że Allice żyje, bo to leży w interesie tych łajdaków. Będą ją pielęgnować i dbać o nią, byle im tylko podpisywała czeki. Mamy więc czas i lepiej jeżeli Allice straci nawet część majątku niż żeby miała zginąć sama.

— Tak, Robercie, ale ty nie znasz Allice! Nie znasz jej uporu, odwagi, śmiałości, energii! Ona raczej zniesie wszystko najgorsze, aniżeli ustąpi wobec przemocy. Allice gotowa zaprzeczyć nawet, że to ona jest miss Sheffield!... A kiedy raz coś powie, to żadna siła nie zmusi jej do cofnięcia się... I dlatego, kiedy pomyślę, że biedactwo znajduje się w rękach jakichś nikczemników, którzy używać będą wszelkich środków, aby złamać jej silną wolę!... Boże! Boże! Robercie, radź, co począć!

— Jedno zapytanie jeszcze, Willu!... Czy nie byłoby wskazanem powiedzieć o twych podejrzeniach ojcu Sheffieldowi?

— Ach! nigdy w życiu! On jest tak gwałtowny, wpadłby napewno w wściekłość i obszedłby się brutalnie z tą... tą... zastępczynią. Takie postępowanie mogłoby być niebezpiecznem dla prawdziwej Allice w obecnem jej położeniu.

— Masz racyę. W takim razie nie powiemy Sheffieldowi ani słowa.

— Tak, musimy udawać, że się niczego nie domyślamy. Ja będę grał dalej rolę narzeczonego. Tylko trzeba działać, trzeba coś przedsięwziąć!

— Oczywiście. Will, czy ty znasz Percy'ego Briggera?

— Tak, ale tylko z opowiadań o nim i z widzenia... To podobno zdolny detektyw.

— Istotnie! Musimy zasięgnąć rady fachowca, a Percy Brigger jest fachowcem i to wcale niepospolitym. On już niejedną zawikłaną sprawę wyjaśnił. Biuro Briggera znajduje się także w tym domu, tylko o piętro wyżej. On właściwie nie nazywa się wcale Percy Brigger, ale to do rzeczy nie należy. Powiadam ci, że to jest człowiek, który naprawdę umie coś zrobić. On przecież wyświetlił sprawę naszyjnika lady Hamilton, tej pięknej Angielki, która zeszłej zimy podbijała serca złotej młodzieży nowojorskiej. Brigger wykrył też morderców milionera Stephensona. Te dwie sprawy, dotyczące najwyższych warstw towarzystwa nowojorskiego, uczyniły Briggera nagle człowiekiem sławnym. Obecnie posiada pięknie urządzone biuro, wspaniały automobil, i obraca się w najwykwintniejszych kołach naszego towarzystwa. To jest człowiek, jakiego nam w tej chwili potrzeba. Czy chcesz, abym go poprosił telefonicznie do nas?

— Ależ naturalnie! Proszę cię, uczyń to natychmiast! — zawołał Will Oczy rozbłysły mu nadzieją.

## ROZDZIAŁ V.

### Trudno oszukać serce zakochanego.

Dziesięciu minut nie minęło jeszcze od chwili, kiedy adwokat zawezwał przez telefon Percy'ego Briggera, a już detektyw znalazł się w kancelaryi Roberta.

Brigger, dowiedziawszy się, że chodzi tutaj o ważną sprawę, poprosił, aby mu ją jak najdokładniej i jak najściślej opowiedziano.

— Przedewszystkiem najważniejszą w każdej sprawie rzeczą jest zasadniczy punkt widzenia, na którym opierając się, można wysnuwać wnioski. Dlatego, zechce pan łaskawie opowiedzieć mi wszystko tak, abym mógł sobie stworzyć dokładny obraz sytuacyi.

Brigger nie robił wcale wrażenia detektywa. Jego wielkie, łagodne, niebieskie oczy, spokojna wygolona twarz, przypominały raczej uczonego, prawnika lub aktora.

Wsparłszy głowę na dłoni, słuchał uważnie gorączkowego, miejscami chaotycznego opowiadania Larkinsa. Kiedy, niekiedy przerywał mu jakiemś na pozór małoznaczącem pytaniem, które jednakowoż zawsze budziło nagle myśl nową, niespodzianą.

Kiedy Will skończył, detektyw rozważał w zamyśleniu przez długą chwilę jego słowa, poczem rzekł:

— Panie Larkins, pan opowiedział mi dużo szczegółów, bardzo cennych wprawdzie, ale to jeszcze nie wszystko o co mi chodzi. Ja chciałbym znać pańskie zasadnicze zapatrywanie na tę sprawę. Niech mi je pan wypowie krótko i zwięźle.

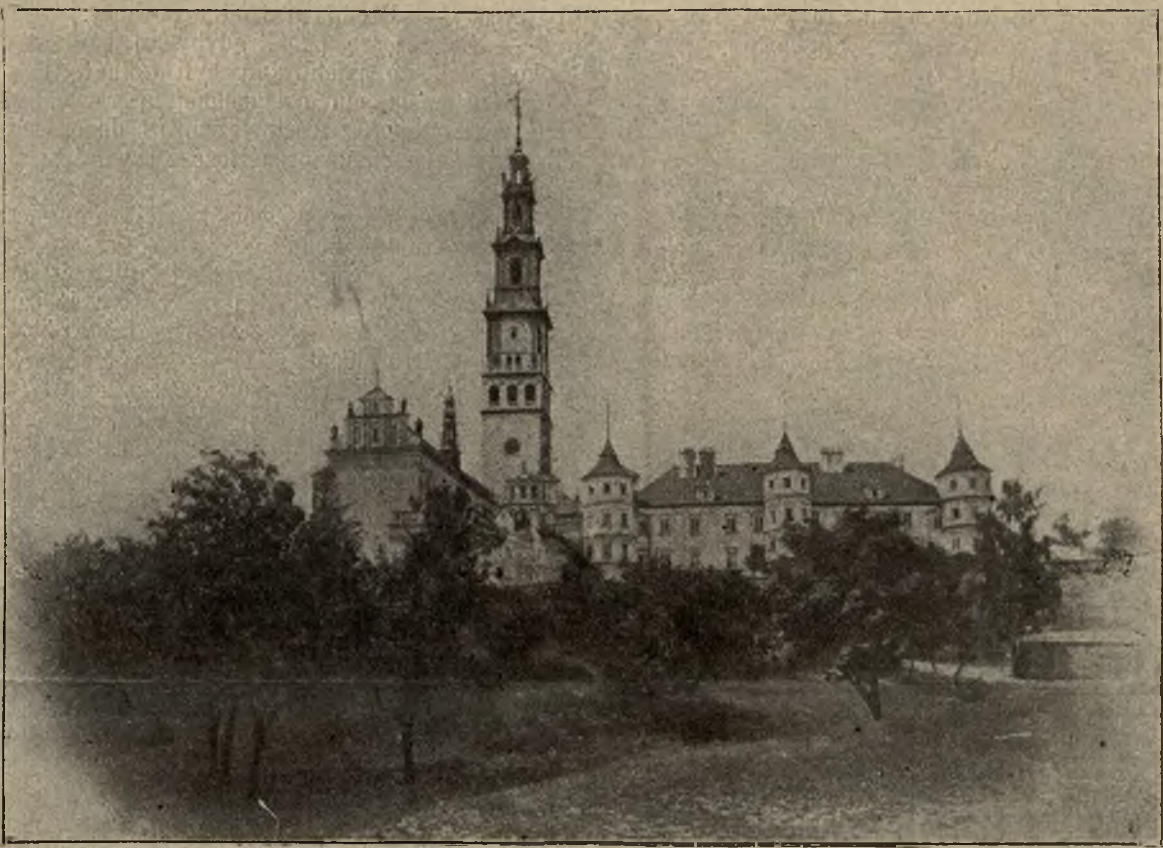
(Ciąg dalszy nastąpi)



**Smierć trybuna ludowego:** Jean Jaurés na mityngu socyalistów przemawia przeciw wojnie.



**Po zniesieniu kordonu:** Brama klasztoru Jasnogórskiego.



**Po zniesieniu kordonu:** Ogólny widok klasztoru w Częstochowie.



**Europa w ogniu:** Miasto portowe Libawa, zbombardowane przez flotę niemiecką.

# Kronika tygodniowa.

Zawieszenie konstytucyi domowej, które proklamowała mi moja zacna małżonka zaraz po powrocie ze świeżego powietrza, wprowadziła też w całej pełni, ograniczając, jak już poprzednio wspomniałem, mą osobistą wolność przez zamknięcie mych trzewików.

Ba, gdyby to jednak tylko na tem się skończyło! Jeszcze więcej przyjemności, połączonych z wojną domową, stało się mym udziałem. Przedewszystkiem więc naruszyła stara tajemnicę listową i otwiera wszystkie nadchodzące do mnie korespondencye, robi to zaś z tego powodu, gdyż przypuszcza, że w ten sposób wpadnie na trop owej tajemniczej damy, która rzekomo miała w czasie jej nieobecności zgubić ową nieszczęsną podwiązkę, o czem już w ubiegłym tygodniu wspomniałem.

Pozatem zmusza mnie do różnych świadczeń, do jakich dotąd nie byłem zobowiązany. W przeciągu trzech dni po powrocie rodziny musiałem pomagać przy froterowaniu podłóg, rozwieszaniu firanek i innych porządkach, od których zaczynają się rządy pani domu po powrocie z wycieczki.

Nie wolno mi zaś powiedzieć ani słowa na swą obronę, słyszę bowiem za każdym razem:

— Mój drogi! Kto się bawił wesoło podczas mej nieobecności, niech teraz pokutuje...

Znoszę więc krzyż swój cierpliwie, przeklinam tego, kto wynalazł wojny domowe i żałuję, żem ongiś nie usłuchał rad przyjaciela, który mi ciągle powtarzał: „Masz się żenić przyjacielu, to się żeń!"... (Resztę niech Czytelnik sobie w duchu dośpiewa).

Mam więc w domu wojnę, gorszą nawet od tej, o której niewolno pisać w gazetach, a która nazywać się ma europejską.

Wobec tego, że uwaga całej Europy zwróciła się w inną stronę, zapomnieliśmy zupełnie o księciu Wiedzie, który jak się zdaje, rządzi jeszcze w Albanii, ale teraz to już z pewnością nie doczeka się zapomogi od mocarstw opiekuńczych, gdyż one dla siebie potrzebują pieniędzy. Nie dostanie także nic od królowej Wilhelminy, do której pisał list błagalny. Ona pozostała niewzruszoną i odpowiedziała: „Nie dam, bo i ja się mobilizuję!"

Nie pozostaje więc nic innego, jak zamknąć budę i przenieść się do dawnej ojczyzny, zwłaszcza, że wypowiedziała mu służbę nawet misya holenderska, której właściwie zawdzięczał, iż dotąd jeszcze dźwiga na głowie książęcą koronę.

Znajdzie się zaś w ostatecznym razie posada dla niego, choćby nawet w miejskim zakładzie pogrzebowym w Krakowie, o którym całkiem poważnie myśli Rada miejska ze względu na dobro mieszkańców Krakusowego grodu. Ponieważ zanosi się na to, że ze względu na ogólną goliznę Krakowianie będą się liczniej przenosić na łono Abrahama, magistrat, troskliwy o dobro powierzonej jego pieczy trzódki, postanowił ułatwić jej wędrówkę na tamten świat i zakłada instytucyę, która ma na celu obsługiwanie nieboszczyków. Boję się jednak, by nie odbywało się to zwykłym administracyjnym porządkiem autonomicznym, gdyż i zmarli są niecierpliwi, a wówczas nieraz może im się zdarzyć, iż będą musieli narzekać na różne nieporządki, bo ta nasza autonomia ogromnie zawsze kuleje.

O ile wiem, kandydatów na objęcie posady kierownika tego zakładu jest spora liczba, każdy z nich pretendent ma i własny swój interes na względzie, książę Wied zaś daje gwarancye, że zajmie się tem z całem poświęceniem, czego zresztą już w Albanii złożył liczne dowody.

Wyobrażam sobie, jak to będzie wyglądać pogrzeb magistracki, na który wydeleguje się z zasady po kilku radców miejskich z urzędu, naturalnie za specyalnemi dyetami. W pogrzebie pierwszej klasy weźmie udział cała Rada miejska *in corpore* z panem prezydentem na czele, oraz dyrektor Zakładu pogrzebowego, w danym wypadku w mundurze albańskim, który jest jeszcze piękniejszy, niż strój pana naczelnika Nowotnego.

Dla księcia Wieda nie będzie to ujmą, jeśli się chwyci tego zajęcia, wszak Manuelek był królem portugalskim, a nie zawahał się zaproponować pewnemu teatrowi rozmaitości, iż gotów jest rozpocząć na jego deskach gościnne występy.

Gdybym tak miał czas i ochotę, *nota bene* i pieniądze, gdyby ponadto nie groziła wojna, złożyłbym taki zespół artystów *varieté'owych* i to o światowej sławie, że jestem gips, jeślibym na tem przedsiębiorstwie nie zrobił kolosalnego majątku.

W pierwszym rzędzie wspomniany wyżej Manuel w duecie ze swą Gabcią, obok *madame* Caillaux, której wyprorokowałem, że będzie uwolnioną, sędziowie przysięgli bowiem, zwłaszcza Francuzi, mają bardzo czułe serca i znani są ze swej galanteryi.

Dalszy ciąg artystów zbierze się także, ręczę, że byłyby to same gwiazdy, a każda ich produkcya byłaby „gwoździem" sezonu.

Ale wszystko to są tylko pobożne marzenia z powodów wyżej wyłuszczonych.

Ja martwię się bardziej tem, że drożyzna zaczyna być coraz większą i kto wie, czy człowiek już niedługo nie będzie musiał zabawić się w głodomora, który nie jadł przez dni czterdzieści.

Z obecnej wojny nie są wcale zadowoleni kupcy i przemysłowcy, prowadzący swe przedsiębiorstwa w miejscach kąpielowych i uzdrowiskach. Zeszłoroczne lato, które tak się tylko nazywało, ale niem nie było, naraziło ich na kolosalne straty, obiecywali sobie tego roku złote góry, zwłaszcza, że sezon zapowiadał się wspaniały. Tymczasem spaliło znowu na panewce, letnicy i kuracyusze powrócili już do domów, zakłady świecą pustkami.

Także i młodzież narzeka. Onegdaj konferowałem z pewnym gimnazyalistą, uczniem klasy czwartej, który wyraził swoje oburzenie, że zawierucha wypadła akurat na czas wakacyjny. Gdym go zapytał o powód, odpowiedział z powagą:

— Bo, proszę pana, gdyby to było w czasie roku szkolnego, mielibyśmy byli wolne!

Przyznałem mu najzupełniejszą racyę, radząc, aby z zażaleniem zwrócił się wprost do ekscellencyi Berchtolda, a on na przyszłość z pewnością się poprawi.

Koniecznem następstwem każdej wojny jest pewnego rodzaju wyludnienie, wobec czego małżeństwa powinny po jej ukończeniu uważać sobie za punkt honoru, by w tym kierunku przyjść państwu z pomocą i postarać się o zasilenie szeregów armii.

Radość też musi obudzić pośród interesowanej płci pięknej wiadomość, zamieszczona w paryskim „Matinie", a zaczynająca się od słów: „Wspaniały wynalazek, królewski dar dla ludzkości! Kobiety, wydając dzieci na świat, nie będą cierpiały!"...

Odnośny referat wygłosił w paryskiej Akademii medycznej profesor Ribemont-Dessaignes, składając sprawozdanie o wynalazku francuskiego chemika, Jerzego Paulina.

Srodek pana Paulina, który zastrzykuje się chorej, działać ma w ten sposób, że matka zasypia, albo drzemie, te zaś, którym się spać nie chce, choć nadchodzi krytyczna chwila, są wesołe i rozmawiają swobodnie.

Noworodek przychodzi na świat zupełnie zdrowy, śpi tylko przez kilka minut, najwyżej przez dwie lub trzy, poczem sam, jak zwykle, zaczyna wyprawiać awantury, aby w ten sposób zamanifestować swą radość, że został obywatelem.

Entuzyastyczne artykuły pism francuskich kończą się zdaniem:

„Znaczenie odkrycia dra Paulina jest tak olbrzymie, że dowodzenia nie potrzebuje!"

Niestety znaleźli się nawet i pomiędzy Francuzami niewierni Tomasze, którzy dość głośno wyrażają swe zapatrywanie, że cała ta wiadomość jest tylko kanikularną kaczką dziennikarską, którą ustrzelił korespondent „Matina", aby zachęcić swe rodaczki, które, jak wiadomo, nie lubią brać na siebie obowiązków macierzyńskich.

Przeglądając pisma codzienne natrafiłem na wzmiankę, iż Izba Stowarzyszeń rękodzielniczych i przemysłowych we Lwowie, zwróciła się do Rady Szkolnej krajowej z prośbą o wydanie odpowiednich zarządzeń, aby dyrekcye szkół średnich tak przy końcu roku szkolnego, jak i przy jego początku zwracały uwagę rodziców i uczniów na korzyści, płynące z wybierania zawodów rękodzielniczych i przemysłowych i aby należytem przedstawieniem rzeczy wpływały na nich, by nasza młodzież zawodom tym poświęcała się w znaczniejszej liczbie, niż dotychczas.

Z zarządzeniem tem zgadzam się zupełnie, boję się przecież, że pozostanie ono głosem wołającego na pustyni, u nas bowiem każdy widzi całe swe szczęście w karyerze urzędniczej, zapominając o tem, że właśnie ta kasta ludzi wiedzie żywot najbardziej opłakany, nie mogąc nigdy związać końca z końcem i klepiąc biedę, aż trzeszczy. Natomiast wykształcony rzemieślnik lub przemysłowiec to pan całą gębą, śmiejący się w kułak z „gryzipiórka".

Przypomina mi się anekdota na ten temat, którą gdzieś czytałem.

Spotkało się pewnego razu na ulicy dwu znajomych. Jeden z nich był sobie zwykłym rzeźnikiem, właścicielem kilku kamienic, parcel budowlanych i od powiednich kapitałów, drugi urzędnikiem dziewiątej rangi, siedzącym po same uszy w długach.

Rozpoczęli rozmowę o wojnie, ciężkich czasach i t. d., pan urzędnik narzekał na swą dolę i przeklinał los garbaty, który go od urodzenia, jak twierdził, prześladuje. Rzeźnik słuchał, klepiąc się od czasu do czasu po okrągłym brzuszku.

Wtem nadszedł jakiś obcy jegomość, którego rzeźnik pozdrowił z całą rewerencyą.

— A to kto taki? — zapytał zaciekawiony urzędnik.

— To profesor — odparł zagadnięty — który mi w drugiej klasie łacińskiej dał dwóję. Jemu zawdzięczam, że nie skończyłem gimnazyum, byłbym bowiem dziś tak, jak pan łaskawy, urzędnikiem. Stało się inaczej i wcale tego nie żałuję...

Urzędnik westchnął gorzko, ale nie mógł mu odmówić słuszności.

*A propos* owego rzeźnika powrócić muszę jeszcze raz do owej bolączki, która nam tak dolega, to jest do aprowizacyi naszego miasta. Istnieje podobno jakaś tam komisya, która się tą sprawą zajmuje i zbiera się nawet od czasu do czasu, aby odbyć wspólnie drzemkę poobiednią, ukołysana do snu zajmującym referatem któregoś z panów radców, skład jej jest przecież bardzo wadliwym. Trudno przecież wymagać, aby dajmy na to piekarz, należący do jej grona, głosował za zniżeniem ceny pieczywa, lub zwiększeniem jego wagi, albo rzeźnik postarał się o uregulowanie cen mięsa, które z zasady idą w górę, choć bydło jest coraz tańsze. Do takiej komisyi powinni należeć ludzie, zupełnie w tem nie interesowani, którym nie możnaby było zarzucić, że działają *pro domo sua*.

W Krakowie jednak tak się dzieje i to jest źle, ale tylko dla nas konsumentów, panowie piekarze, rzeźnicy i t. d. wychodzą na tem bardzo dobrze, jak to łatwo można poznać po ich okrągłych kształtach, zadowolonych minach i potężnie wyładowanych portfelach. Nie przeszkadza im to przecież w narzekaniu na ciężkie czasy i na wyzysk, którego padają ofiarą!

Ilekroć spotkam którego na ulicy, jako ów biblijny Faryzeusz biję się w piersi i wołam: „Dzięki Ci, Panie, iż nie jestem jako jeden z nich!"... Choć, co prawda, bardzo chętnie zamieniłbym się z każdym z nich, zastrzegam się przecież, że tylko pod względem materyalnym. Z jaką fantazyą zabierałby się wówczas człowiek do pisania kroniki, gdyby nie potrzebował myśleć o różnych marnościach, n. p. braku gotówki i t. d.

Wobec tego uważałbym za słuszne i sprawiedliwe, aby P. T. Czytelnicy, skoro skończy się wojna i wygaśnie moratoryum, w uznaniu mych kronikarskich zasług, jakich dają dowody w czasie wojny i pokoju, zarządzili składkę i zakupili dla mnie bodaj trzypiętrową kamieniczkę, niekoniecznie nawet w śródmieściu. Zgodzę się nawet na którąś z gmin przyłączonych, byle tylko do Rynku nie było zbyt daleko.

Jeśli nie..., w takim razie także się obejdzie! Żyłem dotąd bez kamienicy, dam sobie bez niej radę i nadal, ale powiem, wprawdzie tylko pocichu, że społeczeństwo nasze odpłaca za serce czarną niewdzięcznością!

Te słowa moje niech Czytelnicy raczą uważać za ultimatum, bo właśnie teraz nastał czas, że tylko w ten sposób korespondują ze sobą szanujący się ludzie, n. p. ministrowie spraw zagranicznych.

Dlaczegóż więc i ja nie mam zabawić się tak samo, jak oni, zwłaszcza, że jestem cholerycznieusposobiony.

A złożyło się na to wiele okoliczności!

Po pierwsze deprymująco działa na mnie niespodziewany powrót rodziny *(vis major)*, niepogoda *(vis pułkownik)* i brak monety *(vis jenerał)*...

Choć źle właściwie powiedziałem! Pieniądze mam, ale nikt ich nie chce wziąć, bo ubzdurało się niektórym naszym poczciwotom, że na czas zawieruchy trzeba się zaopatrzyć w srebro, a bodaj nikiel. Wyłapano więc korony do tego stopnia, że dziś raczej da ci kto pięćdziesięciokoronówkę papierową w prezencie, aniżeli jedną jedyną srebrną koronę... A one tymczasem leżą sobie gdzieś w skrzyniach lub szafach, zapakowane w węzełki i stare pończochy!



Przed dworcem.



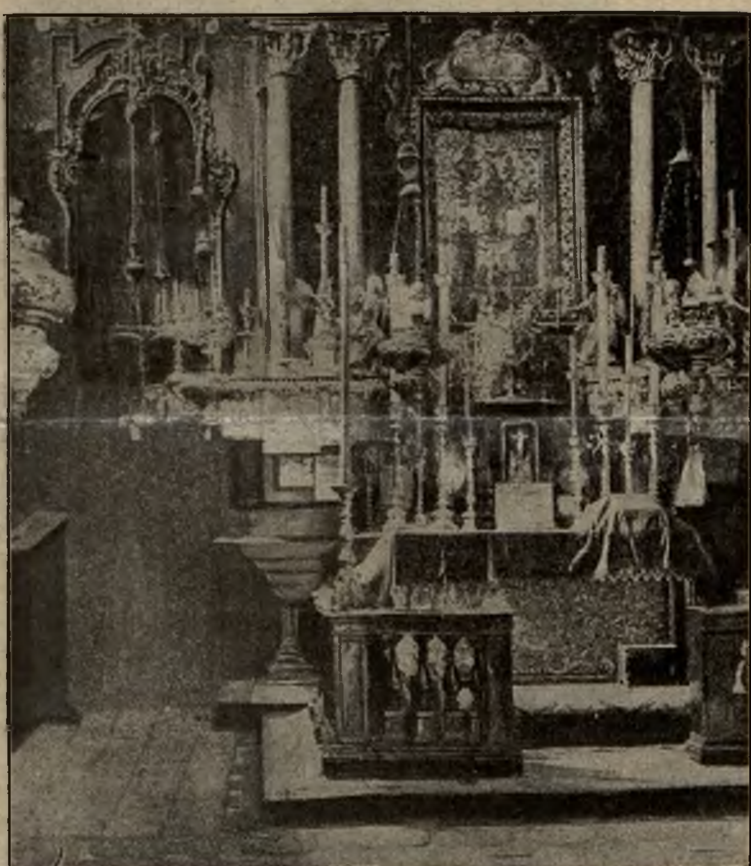
**Europa w ogniu:** Mobilizacya w Krakowie.

Spisywanie poborowych w koszarach arcyksięcia Rudolfa.

## Smierć trybuna ludowego.

Wobec wypadków wojennych, mniejszy wywołało odgłos skrytobójcze zamordowanie przywódcy socyalistów francuskich — jednakże Jean Jaurès była była to postać tak potężna, że rawet w obecnych czasach śmierć jego nie minęła bez wrażenia. Tembardziej, że, jak się zdaje, Jaurès padł ofiarą swoich przekonań antimilitarystycznvch, jako zwolennik przymierza Francuskiego z Niemcami, zastrzelony prawdopodobnie przez jakiegoś nacyonalistę za agitacyę przeciw wojnie.

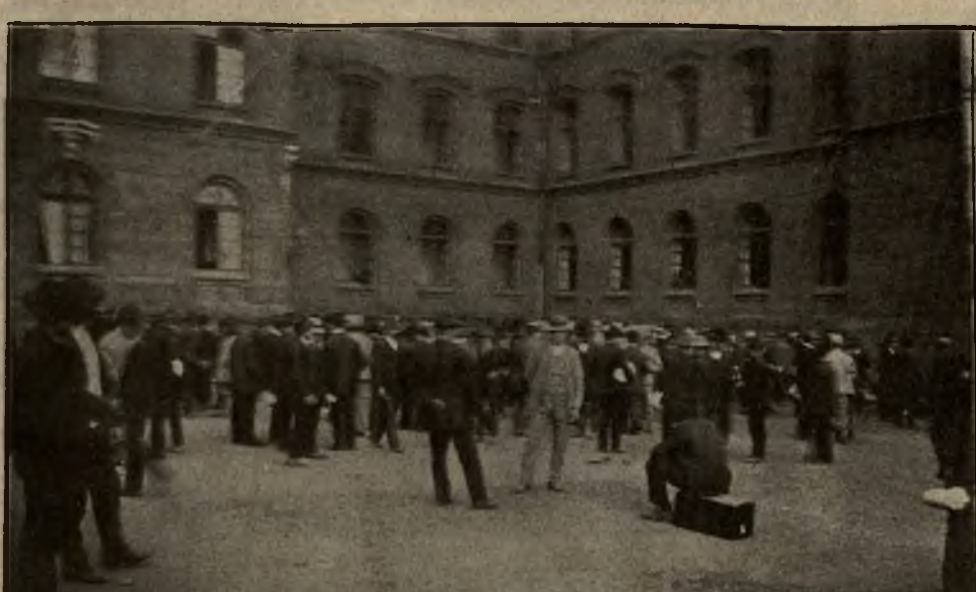
Z pośród polityków demokratycznych i parlamentarnych był to może jeden z najpopularniejszych w Europie. Mów jego, jako najświetniejszego na kontynencie oratora, nietylko słuchano z uwagą w parlamencie francuskim, ale czytano w całej Europie. Oprócz tego wielki wpływ wywierał Jaurès



**Po zniesieniu kordonu:** Ołtarz z cudownym obrazem na Jasnej Górze



**Europa w ogniu:** Port wojenny libawski zniszczony przez atak krążownika niemieckiego Augsburg.



Rezerwiści 13 p. p. w koszarach.



**Europa w ogniu:** Mobilizacya w Krakowie: Przed koszarami obrony kraj. przy ul. Siemiradzkiego



**Europa w ogniu:** Mobilizacya w Budapeszcie.

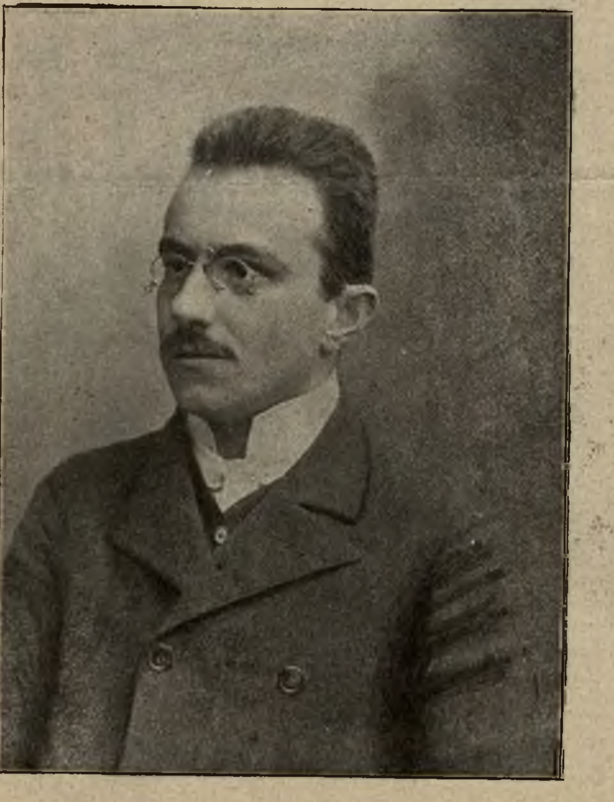
swoimi artykułami w wydawanym i redagowanym przez siebie dzienniku „Humanité“. Obok tego zaś był Jaurès autorem wielu dzieł poważnych z dziedziny polityki socyalnej i ekonomii, oraz autorem wielkiego, ściśle i szczegółowo opracowanego planu, reorganizacyi armii francuskiej i przemiany jej w wojsko ludowe.

Jean Jaurès był synem znanego admirała francuskiego. Urodził się 3 września 1859 r. w Castres, po ukończeniu szkoły średniej uczęszczał w Paryżu do „Ecole normale“, z której wychodzą profesorowie uniwersytetu. Uzyskawszy tam doktorat, został profesorem liceum w Albi. Już wtedy ogłosił Jaurès szereg prac naukowych.

Licząc 26 lat życia, został wybrany do Izby deputowanych, jako jeden z przedstawicieli stronnictw mieszczańskich. W roku 1884 stracił mandat i wtedy oddał się naukowej działalności, przyczem przeszedł do obozu socyalistów. W roku 1893 powrócił do Izby deputowanych, ale w roku 1902 zasiadał już nieprzerwanie w parlamencie.



**Europa w ogniu:** Mobilizacya w Krakowie: Ostatnie pożegnanie.



**Dwie ofiary Tatr:** S. p. prof. Bronisław Bandrowski.

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 30.

**Trójkąt magiczny:** J. Korzeniowski.

**Równanie:** Micka + rakieta + Wyrwicz = Mickiewicz.
Litografia + Sprężyna + Dyana = Grażyna.

**Zadanie do przestawienia:** Kruk krukowi oka nie wykole.

**Łamigłówka:** Ucieczka.

**Łamigłówka literacka:** Starowolski.

**Przysłowiówka:** Głową muru nie przebije. Gotowe zdrowie, kto chorobę powie.

**Bilety wizytowe:** Adwokat. Gwardzista. Katarynkarz Dróżnik.

**Kwadrat magiczny:** Kawa.

**Zadanie do przestawienia:** Samorząd miejski w Królestwie.

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp.:* E. Bogdalski, Koropuż F. Horak Oświęcim, K. Radomski Warszawa, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Rzeszów, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Rzeszów, M. Wańkowicz Mińsk, M. Borkowska Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Balicki Lwów, H. Radziński Jasło, W. Sołtysik Lwów, J. Pick Warszawa, J. Broda Tarnów, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, K. Kaim Warszawa, K. Linderski Siemiechów, D. Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Szczawnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Sambor, D. Sedyńska Zakopane, M. S. Zadroński Lwów, W. Ostrowski Warszawa, J. Kopczyńska Bierzanów, S. Bukowski Równo, J. Jaworski Kijów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Sanok, S. Wiewiórowski Przemyśl, S. Medyński Zakopane, A. Biliński Tarnopol, J. Krawecki Bochnia, M. Więckowska Łódź, Cz. Lipiński Zakopane, W. Raczyńska Sanok, H. Figiel Sanok, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Sambor, F. Frankowicz Lwów, J. Ohrenstein Stanisławów, S. Kamiński Petersburg, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Jasło, J. Popiel Kamieniec, K. Gliński Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, W. Błoński Kraków, S. Sygnarska Tarnów, J. Jahoda Cieszyn, J. Lipowski Lwów, J. Wolny Warszawa, J. Nowacki Sniatyn, J. Darowski Petersburg, M. Sperling Wiedeń, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, W. Krzywicki Jasło. K. Reichenberg Cieszyn, A. Bauer Lwów, L. Sobański Warszawa, M. Münz Stryj, J. Kossowski Lwów, F. Blätterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, H. Maciejowska Winnica, L. Kwaśniewski Piotrków, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Leszczyński Jasło, M. Wędrychowska Sanok. E. Laskowski Nisko, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, S Kamocki Jasło, H. Ungar Lwów, J. Waligórski Lwów, R. Sadowski Kraków, M. Kobyłecka Stanisławów, M. Kozicka Lwów, J. Skalski Sanok, S. Lemieszewski Żółkiew, K. Armatys Uhnów, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Lwów, S. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, K. Radoszewski Tarnobrzeg, H. Obst Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce, S. Rogalski Tarnów, M. Lisowska Sambor, S. Mazurkiewicz Lwów, D. Schwadron Stanisławów, J. Wilkosz Rzeszów, H. Piątek Podwołoczyska, I. Brzostowski Krosno

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Urban, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

# PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

12

Cały dzień następny i połowę nocy spędziliśmy wypoczywając i ucztując; żywności było podostatkiem, bo w lesie tym znaleźliśmy wiele zwierzyny, a towarzysze moi doskonale się wyćwiczyli w strzelaniu z łuku.

Z pomiędzy zwierząt, które widziałem poraz pierwszy, wymienię różnorodne pawie o jasnoróżowem upierzeniu, rodzaj strusia pomarańczowego koloru, o nadzwyczaj krótkich skrzydłach; pióra jego złożone z cienkich, sztywnych nitek, tworzyły pokrycie, rodzaj pancerza śniącego, nadzwyczaj oryginalnego. Mięso tego szczególnego ptaka, przyprawione z ziołami leśnemi, było smaczne i bardzo delikatne.

Wymienię jeszcze olbrzymiego żółwia o złotośniącym pancerzu. Szyja bardzo długa wychodząca z pod tej promiennej skorupy, podobna była do ciała węża, łapy miał wysokie a korpus, silnie rozwinięty, pozwalał zwierzęciu podskakiwać jak żaba. Żółw ten żył w wilgotnych, mchem porosłych podszyciach lasu i żywił się robakami i małymi wężami. W tych samych okolicach, Marsianie zabili wstrętne zwierzę, którego wygląd nie przypominał mi żadnych, na naszej planecie spotykanych zwierząt.

Potwór ten posiadał dwie nogi bardzo wysokie, przypominające szczudła i pysk straszny o zębach krokodyla, kadłub zaś jego był nader nikły i łączył się wprost z pyskiem. Była to poprostu olbrzymia szczęka na dwóch nogach, pokrytych żółtą łuską. Maleńkie oczy, miały nieopisany wyraz okrucieństwa. U wyrostu szczęki znajdował się purpurowy, szeroki i strzępiasty gachen, ułożony w fałdy, jak kołnież rycerza z czasów szekspirowskich. Nazwałem to okropne zwierzę „eurygulem" (szerokopaszczą) i postanowiłem później pochwycić żywcem jedno z nich dla okazu. Marsianie którzy je zabili, opowiadali mi, że je znaleźli w baguie kołyszące się na łapach, na dodobieństwo bociana.

Nie chciałem skosztować jego mięsia, chociaż jak mi mówiono, było białe i miękkie.

Gdy noc nadeszła, Marsianie byli zajęci oglądaniem niektórych ciekawych zwierząt, jakie przynieśli z polowania. Rozkazałem im dorzucić gałęzi do ognia i przygotować nowy zapas na noc.

Dotąd jeszcze na górze zupełny spokój panował. Ani jeden Erloois nie wyjrzał przez szczeliny skał. Marsianie byli pewni, że poginęli w pożarze co do jednego i radowali się tem niezmiernie. Nie wyprowadzałem ich z błędu, choć nie byłem tego samego przekonania co oni.

Znałem tylko pewną część planety, i nie miałem wątpliwości że gdzieś jeszcze dalej znajdować się muszą inne jaskinie Erlooisów. Pomimo silnego zmęczenia tej nocy oka zmrużyć nie mogłem. Jednakże obawy jak na ten raz okazały się bezpodstawne. Sen moich towarzyszów nie został niczem zakłócony.

Już ze świtem wszyscy byliśmy na nogach i przystąpiliśmy do poczynienia przygotowań do odejścia.

Pomimo zwycięstwa, Marsianie radzi byli znaleźć się jaknajśpieszniej w swoich zagrodach, gdzie czuli się bardziej bezpieczni, pragnęli również pochwalić się przed pozostałymi owocami i zwierzętami których wielką ilość nieśli ze sobą.

Ruszyliśmy wesoło w drogę, szeroką ścieżką pokrytą rdzawym mchem aksamitnym.

Eeyos i ja tylko nie dźwigaliśmy żadnych ciężarów, ale za to Marsianie byli wszyscy obładowani bronią i zwierzyną. Wielu z nich oprócz tego niosło wielkie urny gliniane, napełnione żarzącymi węglami, wolno zwieszone na ruchomych obręczach. Urny te kazałem im zrobić jeszcze przed kilkoma tygodniami. Były one bardzo prymitywnej roboty, lecz zastępowały nam doskonale zapałki chemiczne, których nie miałem przy sobie.

Na widok tego oryginalnego pochodu nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Wielkie mitry pierzaste jaskrawe łuki i strzały nadawały mu wygląd iście archaiczny. Około południa przebyliśmy rzekę o purpurowych wodach, dziwnie przeźroczystych. Wielkie gałęzie wikliny w rodzaju bambusu ułatwiły nam zbudowanie prowizorycznego mostu, który przez ostrożność natychmiast kazałem spalić, gdy znaleźliśmy się na tamtym brzegu.

We wszystkich dawnych moich opisach i sprawozdaniach, musieliście wzrócić uwagę na przeważającą ilość koloru purpurowego i pomarańczowego, zauważanego w tych okolicach. Wytłomaczyłem sobie to zjawisko obfitością rudy żelaznej chromu, i innych metalów lub też może istnieniem pewnych gazów w atmosferze, spotykanych w bardzo małej ilości u nas.

Pejzaż przedstawiał teraz widok wspaniały. Drzewa olbrzymy o wysokości pięćdziesięciu i sześćdziesięciu metrów, o gładkim i lśniącym pniu, tworzyły ponad naszemi głowami nieprzeniknioną, gęstą zasłonę, pod którą unosiła się cisza głęboka, nasuwająca mi wspomnienie jaskiń Ellory i Eliplanty zwiedzanych niegdyś; tylko że ten las marsowy krył w sobie straszniejsze i niezbadane jeszcze tajemnice.

Od czasu do czasu otwierała się przed naszemi oczami obszerna polana, jak jezioro złote, wyłaniające się z ciemności, gdzie odpoczywaliśmy chwilę, aby znowu zagłębić się w cieniu tych smukłych, żyjących filarów, które wywierały na mnie i moich towarzyszów dziwnie przygnębiające i smutne wrażenie.

Eeoys szczególnie była zdenerwowana i wylękniona. Odwracała się co chwila, jakgdyby lękając się pogoni, lub nagłego zjawienia się jakiejś wrogiej istoty i czułem jak jej ręka wsparta na mojem ramieniu drżała nerwowo.

— Co ci jest, moje dziecko? — zapytałem, przesuwając łagodnie ręką po jej czerwonych włosach, które nauczyłem ją splatać, jak dziewczęta zamieszkujące Ziemię.

— Nie wiem sama — odparła, zwracając ku mnie oczy nabrzmiałe łzami. — Zdaje mi się, że ciągle słyszę ponad nami unoszący się łoskot skrzydeł niewidzialnych... a chwilami mgła jakaś zasłania moje oczy... Lękam się!... mam wrażenie, że nas coś złego spotka przed upływem tego dnia...

Usiłowałem pocieszyć ją i wzmocnić serdecznemi słowami.

— Czego się lękasz? — rzekłem, siląc się na wesołość. — Nie sądziłem nigdy, żebyś posiadała tak mało odwagi? A czyż zresztą nie jestem przy tobie? Czy już nie ufasz mi mała Eeoys? Doprawdy nie poznaję w tobie dawnej, rozważnej towarzyszki.

— Być może, że się mylę! — szepnęła nerwowo, przytulając się do mnie — ale naprawdę nie mogę się oprzeć temu uczuciu lęku, który mi towarzyszy od chwili wyruszenia. — Przed chwilą uczułam, jak jakaś lodowata ręka dotknęła moich włosów.

— To wybujała imaginacya twoja! nerwy rozstrojone zmęczeniem! Zapanuj trochę nad nimi, jak to uczyłem cię czynić i pomyśl rozsądnie, a zobaczysz, że niemasz wcale powodu do lękania się. — Dzień jest jasny, jest nas tu dużo i dobrze uzbrojonych i ja jestem przy tobie! Zresztą, wiesz, że Erloosy są pokonani...

— Ja nie Erloosów się lękam.

— Kogóż więc?

— Nie wiem... to jest coś, czego ci nie mogę wytłomaczyć! — Drżała jak liść osiny.

— Oh! oh! słyszysz? — zawołała nagle, chwytając mnie za rękę i przystając. — Jakieś trzepotanie skrzydeł około nas! — Ażeby uledz jej kaprysowi i więcej jeszcze nie rozdrażniać, zatrzymałem się, wsłuchując machinalnie w ciszę. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu zdawało mi się, że słyszałem szmer jakiś lekki,. wznoszący się wokoło nas, jakgdyby delikatne trzepotanie skrzydeł niewidzialnych.

— To jakiś owad! — wyrzekłem, chcąc koniecznie wynaleźć wytłumaczenie tego zjawiska.

Ale rzeczywiście byłem tem dosyć odurzony, choć starałem się zbytnio nie przejmować, wytłomaczyć małej Marsiance, że pod tem sklepieniem drzew echo rozchodziło z nadzwyczajną wyrazistością jak w wielkich budowlach kamiennych. Szmer, który ją dobiegł, był zapewne brzęczeniem osy leśnej, a może stała się tylko ofiarą rozdrażnionych nerwów, wywołanych przejściami dni ostatnich.

— Ale i ty słyszałeś, tak samo jak ja? — badała mnie Eeoys, przenikliwie patrząc mi w oczy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Zagadki do nagrody.

**Bilety wizytowe.**

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

| |
|---|
| JAN UR. BEITT |
| ARTUR KAZ Y. STYKA |
| STAN. Y. TOKARZ |
| URSYN A. A. SITZ |
| KAROL P. N. OTTO |

**Zadanie do przestawienia.**

Ułożył Cz Kozłowski, Warszawa

Z podanych głosek ułożyć początek jednego z naszych poematów:

To rozwody jeszcze tkliwe, a to jej jaśminy.

**Przysłowiówka.**

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Pomiędzy dane samogłoski wstawić odpowiednie spółgłoski, aby powstały znane polskie przysłowia:

1) i y i y.
2) o a e, o i o a e.
3) i o, a a o a

**Łamigłówka.**

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza:

Se - er
Op ra
T - r
P - y
A - y
N - y
I - o
U - a
R k
Ru - in
Ka - ar.

**Kwadrat magiczny.**

Ułożył W. M

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzą nazwisko i imię polskiego poety.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

*Znaczenie wyrazów:* 1 Samogłoska. 2. Owad. 3. Prowincya węgierska. 4. Przydomek jednego z królów polskich 5. Szukane wyrazy 6 Miejscowość w Grecyi, znana z historyi 7. Nuta. 8. Zakończenie gry w szachy. 9. Spółgłoska.

**Logogryf.**

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć dziesięć wyrazów, których pierwsze i ostatnie litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiej powieściopisarki i tytuł jej powieści.

*Znaczenie wyrazów:* 1. Zaimek. 2. Kwiat 3 Imię męskie 4. Imię męskie. 5. Król polski 6. Zjawisko niebieskie. 7. Półwysep w Europie. 8. Imię męskie. 9 Owoce. 10. Wykształcony rolnik.

**Szarada.**




Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *W. Lutosławskiego:* **Ludzkość odrodzona.** Dzieje przeszłości.

Wła[illegible] i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.